



BEZIMIENNA.

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII. WIEKU.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

XLVII.

Dzień i ten jeszcze u łóżka dziecka, sama jedna, płacząc, spędziła Ksawerowa; czuła się tak w świecie osamotnioną bez swego starszego dziecięcia... które grzebała łzami, powtarzając: nigdy mi ona nie wróci... patrzyła na drobne po Heli pamiątki, na rozrzucone jej suknie, na poczęte roboty, i żal wzmagając się serce uciskał. Każdy kątek był jej pełen.

Zmierzchało już, cisza teraz panowała w znużonej stolicy, ani jednego moskiewskiego żołnierza nie było już w niej z bronią w ręku. Dom przy Miodowej ulicy leżał w gruzach, spustoszony, zniszczony przez tłumy mściwe. Trupy wałem opasywały go do koła. Po ulicach, w bramach, przed kościołem na Lesznie stosy na pół obnażonych ciał czekały jeszcze pogrzebu... czuć było wyziewy krwi gdzieś niedaleko zastygającej w rynsztokach.

Milczenie grobowe rzadko okrzykiem przerywane zalegało ulice... ale już zwolna otwierały się wrota, wracało uczucie swobody i bezpieczeństwa, a w progu kościołów, w których rzeszistym światłem otoczone ustawiono Groby Pańskie... kupił się lud z gorącą jeszcze bronią w ręku, od prochu i strzałów czarny, ociekły krwią... szczęśliwy i tryumfujący. Gdzieś tam trup niesiony na barkach braci lub ranny na noszach dźwigany... przesuwiał się otoczony ciekawymi, w tryumfie... Zielonemi gałęzmi okrywano zwłoki poległych.

Zesz. VII.

Noc nadchodziła, gdy wrota kamienicy przy ulicy Biełańskiej otwarły się powoli, mieszkańcy ogłodzeni szli w mieście szukać chleba, którego od dwóch dni nie pieczono... a więcej jeszcze wieści, których byli zgłodnieli... wieści o braciach, krewnych, rodzinie... Dni te zdawały się długie jak wiek, i wiek istotnie przedzielał przeszłość od teraźniejszości. Dawno już stolica nie czuła się tak swobodną, tak szczęśliwą... Zbrojna pięść najeźdców nie ciążyła na schylonym karku upokorzonych, zgniecionych mieszkańców; oddychano wolno... patrzano weselej. Ksawerowa nie mogąc ani oddalić się od Julki, ani obejść dla dziecka bez świeżego lekarstwa i pokarmu, wstała szukając środków zastąpienia kimś w wycieczce do miasta. Ciężko jej to życie, wdychała zadumana chodząc nie bardzo przytomnie od łóżka do okien... gdy nagle żywe kroki dały się słyszeć na schodach, drzwi otwarły się z trzaskiem... Ksawerowa krzyknęła...

Nie Helena żywa, ale widmo jej ukazało się na progu. Stała wryta, w podartych i zwalanych sukniach, okrwawiona, z włosiem na pół rozpuszczonym, z przerażającym, dzikim wyrazem na twarzy; w ręku drżącym trzymała karabin ciężki, który padł z brzękiem na ziemię.

Oczy jej błyskały ogniem, blade usta drgały, nie mogąc wymówić słowa... patrzyła i nie zdawała się widzieć... Podnieconą siłą wpadła tu i znalazłszy się wobec matki, osłabiona, nagle słoniła się, pochyliła — upadła. Od dwóch dni oprócz wody nie miała nic w ustach.

Ksawerowa przybiegła do niej z rozwartemi rękami.

— Hela moja! Hela! — zawołała rzucając się, by ją uściśnąć...

— Matko! nie dotykaj mnie! — rękami wyprężonemi odpychając ją zawołała jakby ocucona głosem Helena — nie tykaj mnie, zwalasz się! Zdala odemnie... nie warta byłam progu tego przestąpić... ani was widzieć więcej, ale mnie serce ciągnęło...

— Cóż się stało z tobą? gdzie byłaś? — spytała Ksawerowa.

— Co mi się stało! — powtórzyła z eksaltacją rozpaczliwą Helena... A! dziki zwierz mnie pochwyił i pastwił się nademną... Łkanie głos jej stłumiło.

— Dziki zwierz... alem się pomściła na nich!

Chwyliła karabin upadły i uderzyła nim o ziemię.

— Widzicie — zawołała — zabijałam ich... zabiłam, nie wiem wielu... deptałam ich trupy, patrzałam jak konali i śmiałam się. A! czemuż jego... jego nie mogłam schwytać i piersi mu rozedrzeć i zamordować tak, jak on mnie zamordował.

— Kogo? co ty mówisz? tyś obłąkana... — krzyknęła Ksawerowa — opamiętaj się! Mój Boże... co się jej stało...

W tej chwili Julka rozbudzona porwała się z łóżeczka i przybiegła do Heli chcąc ją uściśnąć... drżące jej rączki już się na szyję rzucały.

Ale i ją odepchnęła zlekka Helena.

— Dziecko moje... — wołała — nie dotykaj mnie... nie jestem już Helą, siostrą twoją, jestem biedną, nieszczęśliwą... zbroczoną... widzisz... zwalaną, błoto i krew! krew i trupy!

I oczy zakrywszy rękami płakać zaczęła.

Dziecię nierozumiejąc i nie słuchając tych wykrzyków bóleści, gwałtownie rzuciło się jej na ramiona... Oczy Heli przymknęły się i twarzą padła na ziemię...

Naówczas dopiero postrzegła Ksawerowa na odsłonięciem prawem jej ramieniu chustę krwawą, którą było związane... przez nią jeszcze sączyła się krew... z rany... i kroplami padała na ziemię... Krzyknęła, wołanie to obudziło sąsiadów, sługi, wszyscy zbiegli się do drzwi i napełnili izdebkę... cisnąc się do koła omdlałej... Osłabiona wysiłkiem, wzruszeniem... Helena straciła przytomność, niekiedy tylko konwulsyjnie rzucając się jakby szukała bronii... Omdlałą przeniesiono na łóżko.

XLVIII.

Nieruchło można było, wśród powszechnego w mieście zamieszania, znaleźć kogoś coby ranę opatrzył... ale nareszcie znalazł się felczer, i odjąwszy chustkę przekonano się, że kula, która ją ugodziła, przeszła tylko ciało nie strzaskawszy kości... Rozerwała ona to piękne ramię, poszarpała je, ale ośliźnieła się o kość, nie wszedłszy głębiej... Wyjęto ją z łatwością.

W całym domu wieść o rannej kobiecie, która wróciła z karabinem, która się biła z Moskalami, robiła wrażenie nadzwyczajne; gospodarz pobiegł po doktora, mieszczanie przysłali od siebie drugiego, u drzwi potrzeba było straż postawić, aby jej odpocząć dano. Ci co ją widzieli wczoraj, opowiadali dziwy o waleczności i zapale męskiej bohaterki. Każdy chciał ją oglądać. Sam Kiliński przyszedł na chwilę dowiedzieć się u Paprońskiego o jej ranę.

— Ja ją tam widziałem koło domu Igelstroma — mówił do otaczających — to mospanie piękna kobieta jak anioł, a jak szatan zajadła i odważna... to mospanie heroina. Więc należy się jej szczególna cześć i staranie od wszystkich, bo to takich przykładów mało...

Zbiegowisko u drzwi trwało ciągle, ledwie Ksawerowa uprosić potrafiła, aby ich w spokoju zostawiono; każdy przynosił co mógł, chciał być czemś pomocnym lub choć posłużyć przynajmniej.

Gdy zręczny felczer wobec lekarzy ranę opatrzył i zawiązał, a ludzie znieśli, co tylko było potrzeba, na dole u schodów stanęła straż, aby nie przerywano spoczynku... Uciszyło się nareszcie w domu... Julka uspokojona zasnęła; dwie kobiety zostało same.

Ksawerowa zbliżyła się do niej zwolna.

— Helo moja... powiedz mi teraz wszystko, wszystko! jak matce rodzonej — zaczęła prosić — muszę i powinnam wiedzieć, co się z tobą działo! A! wina tych nieszczęść, czuję to — spada na sumienie, na niedołęztwo moje!

— Nie — odpowiedziała Helena — los się spiknął na to, ludzie... ja sama... abym była zgubioną... i zgubioną zostałam choć niewinną. Znacie tę kobietę, która zajmuje pierwsze piętro? — spytała.

Ksawerowa rzuciła się, chwytając za głowę... — Tę kobietę? ty ją znałaś?

— Tak... Znacie Starościnę?

— Nie mów! znam ją niestety! nie mówiłam ci o tem... ta kobieta jest siostrą moją.

Hela porwała się jak rażona tą wiadomością — Kto? ona? ona siostrą waszą? — ona? i wie o tem?

— O! wie — rzekła cicho Ksawerowa... spotykałyśmy się w progu, z oczów jej widziałam, że mnie poznała... ale się nie znamy od lat wielu... to istota... zgubiona...

Po chwili spoczynku Hela rozpoczęła na nowo opowiadanie o swem poznaniu się z nią, o zrobionej tam znajomości z człowiekiem, którego ona zalecała jej i wprowadzała; mówiła jak ubóstwem zmuszoną była szukać zarobku i jak z jej położenia korzystać umiano.

— Ostatniego wieczora — dodała — niecny ten człek czulszym, natarczywszym był niż kiedy; dostrzegłam między nim a Starościna znaków pewnych... wychodziła i zostawiała nas samych... Nie czułam wszakże obawy żadnej... chciałam już wyjść, gdy przyniesiono kawę i zmuszono

mnie siłą prawie, abym ją wypila... czułam w niej nie-miłą woń jakąś szafranu... nie śmiałam tego powiedzieć... połknęłam, aby się od napoju i od nich uwolnić... ale za-ledwie dokończyłam filiżanki, uczułam zawrót w głowie i dziwną jakąś ociężałość w sobie, jakby odrętwienie we-wnętrzne... i kamień uciskający mi mózg, głowę, i senność straszną zamykającą powieki...

Napróżno starałam się walczyć, otrząsnąć z tego, po-rywałam z siedzenia, opadając na nie bezsilnie... prosiłam słabnącym głosem o wodę, ale nie wiem, czy już usta moje wyrazi te wymówić zdołały — jakaś potęga niezwalczona odbierała mi władzę i zmysły, w ostatku mgła czarna przesunęła mi się przed oczyma... straciłam zupełnie przy-tomność...

Co później działo się ze mną... ja nie wiem...

Gdy z bólem głowy okropnym obudziła się ze snu, i usiłowała otworzyć oczy, chora... zdrętwiała jeszcze... nie mogłam zrozumieć, ani gdzie jestem, ani co się stało ze mną. Ujrzałam się na kanapie wygodnej, z głową spartą na poduszkach, obłożona niemi... w nieznanym mi pokoju, wytwornie przyozdobionym... Była noc późna... na stoliku paliła się lampka nocna.

Niedostrzegłam zrazu nikogo... usiłowałam przestra-zona pochwycić się, ale napół byłam jeszcze zdrętwiała, bezsilną, westchnęłam; krzyk wyrwał się z piersi; naów-czas poczułam, że mnie ktoś uchwycił silnie za rękę... wyrwałam ją... w mroku postrzegłam tego człowieka, który obejmując mnie szydersko się uśmiechał.

Poczęłam krzyczeć i wołać ratunku.

A! nie potrafię opowiedzieć wam tych scen... tych męczarni okropnych, nieludzkich, tego urągowiska, na jakie zostałam wystawioną... zbrodnia dała mnie w jego ręce... byłam w jego mocy... mógł zabić mnie... a niktby śladu morderstwa nie odkrył... mogłam wołać i krzyczeć, nikt nie słyszał... u drzwi dzikie zwierzęta krzyk mój pobu-dzał do śmiechów, byłam w więzieniu — zamknięta.

Grobowych kilka dni przewalczyłam, przeplakałam, szukając sposobu wyrwania się z tej niewoli sromotnej. Okna były zakratowane, wychodziły w pusty, ciemny, jakby więzienny dziedziniec... u drzwi mieniali się ludzie wyszy-dzający rozpacz moją... Było to umyślnie dla mnie przez niego zgotowane schronienie, w którym poprzysięgał mnie trzymać, dopóki bym jak mówił — nie przyszła do opa-miętania.

Nie jedząc, nie pijąc nic, bom się obawiała znowu tej upajającej trucizny, która mnie trupem oddała w jego ręce... wynędziała gorączką, obłąkana prawie... ale nieprzeła-mana w oporze przeciw temu dzikiemu zwierzęciu — prze-trwałam nie dnie, ale wieki nieopisanej męczarni... z której się on naśmiewał tylko...

Czułam że szaleję, a chciałam już tylko umrzeć.

Czwartego dnia wpadł wedle zwyczaju... ale gniewny,

wściekły, chłodny — grożąc mi... za ledwie przemówił słów kilka i odwołany natychmiast odejść musiał... Znalazłszy mnie znękaną i osłabłą... śmiał się i znowu wyszydzał...

Bezskutecznie nie wiem już jakimi wyrazi zaprzy-sięgałam mu, że się głodem umorzę, jeżeli mnie nie wy-puści.

— Głodem — odparł wychodząc — nie! zawołam ludzi i wleję ci bulion w gardło, moja panno... Cały ten opór głupi przychodzi za późno — dodał — byłaś, jesteś i bę-dziesz moją...

Było to ostatnie widzenie się nasze.

Zdrzemnięta w nocy, obudziłam się nad ranem, słysząc dalekie strzały i wrzawę i chrzęst broni w dziedzińcu; żołdactwo krzyczało, biegało... wydawano rozkazy wśród powszechnego popłochu... Niemogłam domyśleć się, ani zrozumieć co się stało, czułam tylko, że nadzwyczajny jakiś wypadek zamieszał codzienny porządek. Uderzono w dzwony, serce mi biło. Zdala od ulicy dolatywały to głosy Moskali, to wołania naszego ludu... potem znów martwa cisza oczeki-wania. Ja sama, zamknięta, zapomniana może, nie wie-działam, jaki los mnie czeka. Nadzieja wstępowała w serce. Ubrawszy się prędko, dopadłam wręście drzwi, myśl mi przyszła, że dom podpalony być może i że ja żywcem w nim spłonę. Wstrząsnęłam silnie drzwiami, nikt się nie od-zywał w korytarzu... poczułam, że zamek nie był mocny, rozpacz mi sił dodała, z całej mocy porwałam, mocowałam się kalecząc do krwi, i wręście udało mi się oderwać za-mek, otworzyć. Było to już nad wieczor... Wypadłam na korytarze, nie było w nich nikogo, poczęłam biec na zdy-szana w stronę, z której mnie dochodziły głosy od ulicy, ale drugie drzwi zabite zaparły drogę.

W tej chwili, kiedym się do nich zbliżyła, garść ucie-kającego moskiewskiego żołdactwa wyparła je, wpadała do domu, mrok już był na dziedzińcu. Przelecieli cisnęli się, tłoczyli, padali, a ostatni z nich miał już wrota te za sobą i za mną zatrzaskać, gdy dobywając odwagi i siły, wysko-czyła w podwórze i padłam tocząc się ze schodków.

W tej chwili wystrzał z ulicy wymierzony na Moskali obsypał mnie kul gradem. Szcześciem jedna tylko trafiła mnie w ramię, alem nie poczuła bólu, podniosłam się, po-biegłam ku swoim z wyciągnionymi ramionami, wołając ratunku.

O kilka kroków w bramie dziedzińca wyłamanej stała garść mieszczan nabijając broń. Widząc mnie lecącą, prze-razoną, okrwawioną, starszy pochwycił za rękę. Wypytywać mnie zaczęto, alem nie miała siły, ni przytomności do od-powiedzi.

— Na Moskala! — wołali drudzy — za nami.

Pałając zemstą i ja zaczęłam krzyczeć:

— Na Moskala! a wychwyciwszy karabin z rąk żołnierza, pobiegłam razem z nimi ku drzwiom, nie wiedząc sama co robię, jak obłąkana.

Pragnęłam się zemścić, byłam w istocie bezprzytomna, w gorączce. Moskale zatarasowali się w tym domu, z którego ja właśnie uciekłam... przypadli nasi z siekierami drzwi rozbijając, ale zaledwie one padły zrąbane, gdy skryci w korytarzu Moskale dali ognia na nas. Kilku z mieszczan pochyliło się rannych, dwóch czy trzech zabito na miejscu, ja wpadłam wystrzelawszy na czele ich pierwsza we drzwi.

Kilka trupów moskiewskich zawałało próg, deptałam ich nogami z rokoszą... o! niewiem cobym była wówczas czyniła!

Szukałam między nimi jego! jego! zbójcy! jemu kulę chciałam bić w piersi, i patrzeć na konanie złooczyńcy...

— Helo — przerwała Ksawerowa.

— Matko — odpowiedziała zrywając się z pościeli — on mnie zbezczęścił, on się z tego chlubił i naśmiewał mi w oczy.

Potem niewiem już, com robiła... pamiętam tylko, że szła na czele oddziału... tłum mnie niósł, żołnierze nasi broń mi nabijali... strzelałam... śmiałam się, płakałam... Przebiegłam tak ulice Warszawy i dopiero na Lesznie w kościele, gdyśmy zamkniętych w nim Moskale dobyli, gdy święte progi okryły się trupami, opamiętałam się, oprzytomniałam, opuściło mnie męztwo i siła... zaczęłam płakać... przed ołtarzem obalonym klękałam prosząc o śmierć Boga... Wszyscy wyszli a ja zostałam sama z trupami i z sobą... Siedziałam tak, aż dopóki same nogi, bez myśli nie przywlokły mnie tutaj...

XLIX.

Starościna, która od czasu wtargnięcia do jej mieszkania Puzonowa nie wiedziała co zrobi z sobą i biegła od okna do okna, wypatrując tylko, ażali ją już wieszać nie idą... gdyż o zemście nad zdrajcami głośno po ulicach wołano — o mało niepadła dobita tym widokiem, ujrawszy Helenę oszalałą, skrwawioną wpadającą z karabinem w rękę na schody.

Poznała ją pomimo ciemności, gdyż zatrzymała się była chwilę u wrót przed latarnią... i światło padło na piękną jej twarz zbielałą. Jej zemsty obawiała się ona najmocniej; przychodziło jej na myśl, że uwolnioną być może, ale nie widząc dłużej wyobraziła sobie na ostatek, że zamknięta w tym domu, gdzie byli Moskale — musiała być zabita, przywaloną gruzami... Puzonów o losie jej nic nie wiedział.

Nagle zjawiało się to widmo mściwe. Zaryglowawszy drzwi Starościna pobiegła wystraszona do izdebki Puzonowa.

— Wiesz! wiesz jenerale, co się stało z Heleną?

— Z tym szatanem — przerwał Puzonów — nie! nie wiem... i niech ją tam kaci porwą... strzelano do tego domu, leży w gruzach... a trup jego pod gruzami...

— A! nie! ona jest tu! tu! — krzyknęła Starościna... rozumiesz waćpan — tu!

— Gdzie? u ciebie? — spytał Puzonów.

— U matki! ale za chwilę... któż wie! Widziałam ją jak wbiegła okrwawiona... z karabinem w rękę... pijana...

— Z karabinem? śni ci się? — zapytał jenerał.

— Nie! nie... musiała się bić...

Jenerał pomyślał. A no — rzekł — to może być! może być...

— Na Boga! a jeśli ona spragniona zemsty tu wpadnie... jeśli wyda mnie... oskarży...

— Ha! i to może być — odparł zimno Puzonów — na to ja już nie nie poradzę. Ale mam dwa dobre pistolety — dodał zimno — jeden przeznaczam dla siebie, gdyby mnie chwytać chciano, bo żywcem ująć się im nie dam, drugi, jeśli pani chcesz w ostateczności przyłożę do serca lub czoła... To rzecz łatwa... jedna chwila i wszystko skończone.

Starościna na samo wspomnienie śmierci zakryła rękami oczy i uszy.

— Tyś mnie zgubił! — zawołała — jam nieszczęśliwa... oni mnie teraz powieszą, ja ztąd uciekać muszę.

— A dokąd? do kogo? — zapytał jenerał — jeśli masz jaką kryjówkę, bierzże i mnie z sobą, bo ja bądź co bądź zostać tu muszę...

— Zostać! waćpan nie możesz tu zostać, uchodźmy razem — wołała Starościna — przyjaciele wasi ułatwili ucieczkę Igelstromowi, mogą i powinni to uczynić dla ciebie; waćpan weźmiesz mnie z sobą.

— Nie wezmę, bo się ztąd nie ruszę, ukryję się — odpowiedział jenerał — ale pozostanę... Takie mam rozkazy! Muszę być tu, w miejscu, choćbym to miał życiem przypłacić! Warszawa nie może pozostać tak... aby tu nikogo z naszych nie było. Carowa przykazała! Ta krwawa, głupia historia nie potrwa. Prusacy są o parę mil, przyjdą posiłki... musimy odzyskać Warszawę. Tymczasem ocaliłem archiwum... ludzie nasi ochłoną i wyjdą z kątów. Ja muszę widzieć się z królem... Słowem, nie wyjadę.

— Ale ona! ona!

— Ona! jeśli jej idzie o honor — to mi życie oszczędzi — rzekł Puzonów, bo ja jeden wrócić go jej mogę. Zresztą żądam wiedzieć, że tu jestem.

Rozmowa ta i narady trwały długo, a byłyby się przeciągnęły może jeszcze, gdyby przez otwarte wrota wciśnięwszy się dwóch jakichś ludzi, nie weszło po cichu na schody i nie wparło się prawie gwałtem i przebojem do mieszkania Starościny. Sługi napróżno wstrzymać ich usiłowały, na hałas i spór musiała strwożona wybieść Betina.

Jeden z nich był ten sam wąsaty jegomość, który się nam pokazał w Dobrochowie, gdy u Ksawerowej uparcie się tak dowiadywał o owego podejrzanego człowieka; drugi mały chudy drobny, blade, nieco ułomny, kaszlący, w

konfederatce i z wásami, towarzyszył mu tylko w odwodzie stojąc. Oba byli przy szablach, z pistoletami, a starszy nawet miał jakąś flintę, którą u drzwi postawił.

Na widok tych nieznanych napastników, Starościna półumaria ze strachu, podeszła kłaniając się pokornie.

— Pani Starościna Odrzygalska? wszak tak — spytał pierwszy znacząco przymrużając oko.

— Tak... to jest... czasem mnie nazywają, choć w istocie — jąkała się kobieta...

Odprowadziwszy ją na bok — wásaty spytał po cichu:

— Jest? he?

— Kto? kto ma być? nikogo nie ma...

— Waćpani wiesz kto... no! jest?

— Niema u mnie nikogo...

Mężczyzna niecierpliwie ruszył ramionami i z przedpokoju wyprowadził ją do salonu.

— Mówże acani... — rzekł — tu o życie jego i o ważne chodzi sprawy, jam przyjaciel... co u djabła! jest jenerał?

— Jaki jenerał? nieznam żadnego, jam spokojna kobieta! czego chcecie odemnie...

— Ale on tu jest! to wiem! — zawołał wásaty niecierpliwie — ja się z nim widzieć muszę! ja niosę dla niego depesze...

Wyjął papier z konfederatki i rożek jego pokazał.

— Słyszysz waćpani...? to nie są żarty! mów prawdę! będzie źle! do trzysta!

— Ja nic nie wiem — coraz bardziej przestraszona ozwała się Starościna.

— Bardzo to pięknie, żeś waćpani ostrożna, ale ja należę do... do przyjaciół i sług jenerała, nie jestem żaden warchoł... patrzno acani... i pokazał kartkę z pieczętką od Moskali.

Starościna wahała się jeszcze.

— Tu go niema — rzekła — ale gdybym nawet wiedziała gdzie jest... toć go zapytać trzeba, czy zechce się z kim widzieć... Wyjdź waćpan do przedpokoju i daj mi swoje świadectwo...

Wásaty milcząc podał jej kartkę i ustąpił.

W chwilę potem Betina przybiegła dając mu znać, by szedł za nią i poprowadziła do drzwi Puzonowa. Drugi pozostał w przedpokoju na straży, a że miał pragnienie wielkie, przymówił się o butelkę wódki. Powietrze było wiosenne, wycieńczające.

L.

Puzonów postrzegłszy w progu wysłańca, podniósł się stękając, sparł na łokciu i zbliżyć mu się kazał.

— Cóż to? nie powiesili cię? — zapytał.

— Jeszcze nie — odparł wásaty — i zdaje się, że nie powieszają chyba, bo krzyczę — Vivat naród! Równość! Wolność! Niepodległość! Rznij Moskali!... Znają już Jakóba Sojkę jako gorliwego patryjotę.

Jenerał uśmiechał się wzgardliwie.

— Mówże, co tam słyhać!

— Źle słyhać tymczasem — mówił Sojka wzdychając — przyjdzie z głodu umierać... pobrali w niewolę naszych przyjaciół najlepszych, niewdzięcznicy... dużo narznęli, trochę uciekło... trupów stosami... Co nasiekli — to nasiekli!

— Słuchaj Sojka! oddamy w dziesięcioro! — zawołał Puzonów. Co z Igelstromem?

— Jak miało być tak się stało, uszedł w spodnicy księżnej.

— Cało?

— Cało i zdrowo! do Prusaków, bezpieczny — ale teraz chory ze złości.

— A odsiecz pruska?

— Trochę Niemcy byli podeszli, ale artylerja nasza dała ognia, powąchali i cofnęli się.

— Tchórze! — zawołał jenerał — dają im czas się opamiętać! Chwycił się za głowę — Oj! będzie, będzie od Carowej wszystkim, i warto... gdyby byli słuchali...

— Kobieta — przerwał sobie po namyśle — powierzyłem ją waszej straży, a wy puściliście! ot! niezdary!

— Myśmy sami ledwie z życiem puciekali... panie jenerale, to baba z piekła rodem — zawołał Sojka — odebrała zamek zębami, wypadła w dziedziniec, ranna w ramię, oblana krwią... Potem słyszę, wyrwawszy karabin żołnierzowi... cały dzień biła się i mordowała. Całe miasto o tem gada.

Jenerał poruszył się, oczy mu zajaśniały, mruknął tylko do siebie.

— No! odważna! lew-kobieta!

— A gdzie ino była moskiewskich trupów kupa — mówił Sojka — chodziła, przewracała... szukała...

— To mnie pewno! — dodał, śmiejąc się dziko Puzonów.

— A może być!

— Byłaby mi serce z piersi wydarła — rzekł Puzonów — takie kobiety u was tylko się rodzą.

— Nie, panie jenerale! ja pierwszy raz w życiu widzę podobną! — dokończył Sojka... ale mi trzeba powracać i dać o was znać... więc co każecie?

— Zrozumiej dobrze — rzekł jenerał — trzeba żebyś tę kartkę małą przesłał Igelstromowi... przekradniesz się na Pragę... tam znajdziesz Moszka Krymca... on z nią pojedzie natychmiast gdzie będzie potrzeba.

— A jak mię złapią i znajdą ją u mnie? — spytał Sojka.

— Powiesz, żeś ją znalazł na Miodowej ulicy... dość się tam papierów naszych walać musi.

— Dobrze — a jak przeczytają? — dodał Sojka.

— Oto się nie lękaj — niech sobie czyta kto potrafi... Od Moszka Krymca weźmiesz pieniądze i przyniesiesz mi je tutaj. Powiedz że nie mam grosza przy duszy — idź i powracaj.

Po krótkiej tej rozmowie, Sojka poprawiwszy ogromną kokardę narodową, zabrawszy znowu flintę, wyszedł z towarzyszem w ulicę i wmieszał się w tłum, wołając ile razy nadarzyła się sposobność ku temu: — Równość! Wolność! Niepodległość!

LI.

Po dniach tryumfu i radości szły dnie pracy bez spoczynku... wszystko było do zrobienia, do stracenia nie miano chwili... Nadeszła wielka uroczystość chrześcijańska i narodowa razem... miasto oblokło się powagą... Chociaż oczekiwano posiłków, choć nadciągały wojska, choć obiecywano Kościuszkę — lud który zwyciężył musiał się mieć na baczności. Straże pilnowały zamku i struchlałego króla wyglądającego odsieczy, musiały strzedz więzień i czujne mieć oko na powiew zdrady... rzućanej zręcznie przez przyjaciół Moskali. Czynność nadzwyczajna panowała w mieście, umysły zajęte były tylko ocaleniem kraju... wobec jego sprawy, wszystkie małe, ludzkie, chwilowe troski ginęły.

Ale w domach, z których okien wczoraj jeszcze z pogardą poglądano na ulicę, w tych pałacach, co się na roście otwierały dla druhów z nad Newy — panowała trwoga nie do opisanania... Obawiano się tej straszliwej sprawiedliwości ludu, która nie wywodzi sprawy długo, nie rozpoznaje stopnia winy, ale wszystkich wiedzie pod miecz w chwili roznamietnienia. Jedni wymykali się powoli z miasta, drudzy nie mogąc już tego uczynić, drżeli na każdy szeceł broni i głośniejszy okrzyk u bramy. Wiedzano o aresztowaniu tych, których głos publiczny napiętnował od dawna — trwoga biała padała na mniej winnych czynem, choć w sumieniu — równie karygodnych. Ci co stali na rozdrożu między niepocziwością a cnotą, powoli zwracali się ku niej, żałując milszej drogi kwieciej, którą porzucić musieli. Oslupienie nie dozwalało jawnie i nagle przejść na stronę zwycięzców, wstyd hamował, choć strach popychał. Spodziewano się wreszcie... może... odwetu Moskali, rachowano na Prusaków, na Carowę, na wszystkie niespodzianki losu... i drząc cicho czekano za zamkniętymi drzwiami jutra.

A w ulicach grzmiały za głośno okrzyki swobody... Stawiano gorączkowo szubienice, lud przewodził. Biada temu grodowi, gdzie ten lud pocziwy ale namiętny, szlachetny ale ślepy i jak dziecko wrażliwy, dający uwieść się słowu, omamić uczuciu, zapanuje losom... tam nie ma przyszłości... bo ten co pchnął tłumy, powstrzymać ich nie potrafi.

Choć mała a niegłośna istota, Starościna należała do najbardziej zatrwożonych zmianą położenia — pogorszało je to jeszcze, iż generał ani chciał ani myślał innego szukać schronienia... a znalezienie go w tem ukryciu, mogło w chwili rozdrażnienia zagrażać zemstą okrutną.

Puzonów dumą swą, obejściem się pogardliwym wielu na siebie ludzi obraził — wiedzano że przytomny pierwszemu widzeniu się Igelstroma z Kilińskim, do obelgi i bezczeszczeń jego... dokładał nielitościwe szyderstwa... A Kiliński! Kiliński teraz był wodzem, bożyszczem, panem tego ludu, który królował w stolicy, gdy król zamknięty drżał ze strachu.

Trudno teraz było poznać ową piękną i zawsze świeżoną Strosćiną, zapominającą o wdzięku, o elegancji, z trwogi i bezsenności wybladłą straszliwie — zsiniałą, zestarzałą, chodzącą jak zwierz zamknięty w klatce od okna do okna, czatującą, wyglądającą jakiegoś grożącego niebezpieczeństwa, nieokreślonego... przeczuwanego tylko.

Po nad nią, tuż... była ta, którą zdradziła... słyszała jej stapanie, w uszach brzmiał jej głos i łkanie... widziała ją ukazującą się w progu z tą bronią w ręku, okrwawioną, dyszącą zemstą, wiodącą za sobą tłumy.

Betina modliła się machinalnie... choć usta jej dawno były od modlitwy odwykły, płakała... słała się z wycieńczenia i strachu.

Około dziesiątej dnia tego, przestach który ją nieopuszczał na chwilę, powiększył się jeszcze i spotęgował do najwyższego stopnia, gdy w progu ujrzała zakwefioną kobietę, wchodzącą bez oznajmienia. Zdawało się jej... widzieć w nieznajomej — przebraną Helenę.

Już krzyknąć miała składając ręce jak do modlitwy, gdy w tej chwili kobieta podniosła kwef i Betina ujrzała twarz starą, zwiędłą, której rysy dawno jej były znane.

Poznała w tym gościu niespodzianym panną Babską, przyjaciółkę za dni szczęśliwszych, dziś pobożną i poważną powiernicę Ks. Wojewodzinej.

Odwiedziny te, (choć bez żadnej przyczyny) przeraziły ją jednak — nie umiała ich sobie wytłumaczyć i dla tego samego ulęka.

— A! moja dobrodziejko! — zawołała — cóż ty tu robisz! jakim przypadkiem?

— Ale nie żadnym przypadkiem, przychodzę tu umyślnie — odparła Babska siadając — pozwól mi spocząć... przyszłam zobaczyć, co się z wami dzieje.

— Moja dobra, kochana! widzisz! — odezwała się Starościna — patrz! jak ja wyglądam! jak trup! zielona, żółta... sina! ginę i umieram ze strachu... Nie wiem sama, jak tych dni przeżyłam parę... Sto razy zdało mi się, że zginę z samej trwogi... Strzały! trupy! krew... ci ludzie wściekli! ci rzeźnicy z toporami...

— Starościna miałaś przyjaciół w ambasadzie — szepnęła Babska.

— Cicho! na Boga! co pleciesz! Ja! — przerwała Starościna — nie miałam, jako żywo, nikogo! nie znałam od dawna żadnego Moskala, nie bywał u mnie nikt... nie mówże tego, proszę, bo gotów jeszcze kto podsłuchać.

Babska popatrzyła na nią.

— Nie obawiajcież się znów tak bardzo — rzekła — nikomu z nas się nic nie stało. Moskali niema ani nogi... w mieście jak w raju, cicho, spokojnie! Czego się lękać!

Na to Starościna potrząsała głową.

— Moja droga Starościnko — poczęła przybyła pomyślawszy nieco — ja tu do was przychodzę po starej, dobrej znajomości dla informacji.

— Do mnie?

— Tak, moja miła, wszak znacie pewnie wszystkich lokatorów tego domu?

— Tak... z daleka... zbliska nikogo.

— Wszak mieszkała tu, albo i jest dotąd wdowa po urzędniku, Ksawerowa D...

Starościna zagryzła wargi.

— Niewiem... podobno... tak... może i jest; ale cóż wy chcieć możecie od niej?

— Ja! nic! Mówiono mi tylko, że jest bardzo biedna... Bo to, widzicie... moja pani i ja, należemy obie do pewnego bractwa dla ubogich założonego, trudniącego się wyszukiwaniem takich, coby się zebrać wstydzieli... a pilno potrzebują pomocy... Obchodzimy tych nieszczęśliwych i jak możemy im pomagamy.

Starościna słuchała z pewnem niedowierzaniem.

— Wszakżebyś ja — mówiła Babska wahając się — mogła pójść do nich, zobaczyć się z nią?

— Niewiem, niewiem — przerwała Starościna — one tu stały wprawdzie... ale ja ich... tak jak nieznałam... nie miałyśmy z sobą żadnych stosunków — objaśnić więc nie potrafię.

— Obarczona podobno rodziną — ciągnęła dalej Babska — bez żadnego sposobu do życia... dwie córki, jedna dorosła, druga mała i chora, słyszę niebezpiecznie.

— Ale ja nie wiem, nie wiem — przebaknęła Starościna a potem dodała:

— Jabyś tam tam iść nie bardzo życzyła.

— A to czemu?

— Starsza córka jakaś szalona, nie spełna rozumu... i dziwnie się jakoś prowadzi. Słyszę w czasie tych dni latała jak warjatka po ulicach z karabinem, wśród czeladzi, rozmamana... jak ostatnia jaka... Zresztą, oni sobie rady dają... są inni ubodzy...

— Co ty mówisz? przerwała Babska niespokojnie — ta dziewczyna! starsza? latała po ulicach? ale to nie może być!

— O! i bardzo może — zawołała Starościna — bo nawet kulą ranna w ramię, to wiem, w całym domu plotek o tem pełno...

I zamilkła.

— A gdzież one mieszkają? — zapytała Babska.

— Tu, na drugim piętrze, nademną.

Chciała Starościna dopytać się jeszcze, czy Babska pójdzie do Ksawerowej, ale ta zwróciła rozmowę westchnąwszy, i pożegnawszy się chłodno, pospiesznie odeszła.

LII.

Wieczorem w Wielką Sobotę, gdy dzwony stolicy były na Zmartwychwstanie Chrystusa i narodu, a tłumy przeciągały ulicę oświecone, w domu przy Bielańskiej cisza panowała głęboka.

Na pierwszym piętrze generał Puzonów z zaciętymi usty, z brwią namarszczoną leżał słuchając dzwonów, które mu hasło powstania przypominały, i powtarzał przez zęby: Niedługo tego będzie! nie długo! zagłuszam my wasze dzwony i radość zamienię w jęki!!

W salonie Starościna to padała zmęczona na kanapę, to się przechadzała gorączkowo, nieszczęśliwe sługi posyłając na wywiady co chwila. Obładowana precjozami, pieniędźmi, papierami... gotową była do ucieczki tylnymi drzwiami na pierwszy znak trwogi.

Na drugim piętrze obraz był całę odmienny.

W ciemnym pokoiku Julka, której chorobę zdawały się pogorszać dni ostatnie, zrywała się w gorączce, to opadała senna i osłabiona... oddech ciężki zwiastował jakby walkę młodości z chorobą... U łóżka jej w nogach klęczała matka z głową opadłą na stopy dziecięcia, a u poduszek z rozpuszczonem włosom, z obłąkanym wzrokiem, z ręką związaną, przypadła Hela, tuląc dziecię do siebie. Posłano po lekarzy... ale do jednych dobić się nie było podobna, drugich nie było w domu, inni albo się obawiali wychodzić lub nie mogli opuścić strwożonej rodziny.

Dla matki i siostry widok tego zbolełego dziecięcia, którego cierpienie się przedłużało bez nadziei, bez ratunku chyba od Boga, był zaprawdę straszliwy. Ale któż zbada wyroki Boże i znaczenie tych ofiar a cierpienie, które On zsyła?

Każde słowo Julki krwawiło im serca, bo wstawała, podnosiła się chwilami, wyprężona, z oczyma żarzącymi, i mówiła jakby przytomna przez sen, rzeczy niezrozumiałe nad wiek swój i pojęcie... Widziała coś zdala... rozmawiała z duchami, uśmiechała się do mar jakichś... płakała nad sobą i matką... zdawała się patrzeć na świat z góry, od stóp Bożego tronu.

Wśród tej ciszy ruszyła się spoczawszy, przebudziła, pocałowała Helę, schyliła do głowy matki, oczy jej znowu zajaśniały blaskiem nieziemskim... poczęła mówić. Głos jej był cichy, spokojny a silny.

— Nie płaczcie — rzekła — nie płaczcie! nie ciągnijcie łzami swemi na ziemię... gdy anielskie skrzydła unoszą mnie ztąd w obłoki.

O! nie płaczcie! Matusiu moja... pamiętasz — dodała gdyśmy na wsi były w Dobrochowie, tę Kachnę, co przychodziła czasem do mnie... tę co to nam tak śliczne bajki opowiadała. Otóż raz, w nocy, gdy spać nie mogła, ona mi mówiła jedną, o matce tak dobrej jak ty matusiu, której był Bóg wziął córkę, a ona po niej płakała, pla-

kała, płakała... o! całe dnie, noce całe... Aż raz biedna usnęła znużona, i we śnie ujrzała cały zastęp duszyczek, które leciały uśmiechnięte do nieba jasnego... A szły tak lekko... tak spieszo, tak pilno! Patrzała i oczy jej między niemi straconej córki szukały. Aż widzi, idzie Maryś, idzie, ale powoli, ciężko, ledwie nie pada, bo niesie w ręku dzban pełen łez matczynych, który jej ciąży i opóźnia drogę.

Coraz ciszej mówiąc skończyła Julka i matkę pocałowała w czoło, Helę w twarz, dodając:

— Nie płaczcie — proszę... Czyż tak dobre to życie, kiedy jest inny lepszy świat... Choćbym tam poszła przed wami, czyż się wszyscy nie spotkamy?

Za tą pierwszą szła druga kobieta... podobnie ubrana, mniejszego wzrostu. Stały w progu, jakby wahając się, czy wniknąć mają, Helena pod wrażeniem przepowiedni Julki wyszła.

Na widok jej pierwsza kobieta pod zasłoną zadrzała... podstąpiła krok żywo i cofnęła się wstrzymując.

— Pani ta — odezwała się towarzyszka pierwszej — chciałaby parę słów pomówić z panią Ksawerową.

Ksawerowa widząc Julkę uspioną, usłyszawszy szmer w pokoju, wstała i ukazała się na progu... Hela ustąpiła na bok, ale wzrok jej wlepiony był w twarz poważnej niewiasty.



— Na Moskale! a wychwyciwszy karabin z rąk żołnierza... (str. 207.).

A po chwili—dodała cicho, szepcząc na ucho Heli— Teraz ja zasnę... ty czuwaj... bo do ciebie idą gęście! idą! idą...

I zmęczona położyła główkę na poduszce, zamknęła oczy... Hela usta zwilżyła wodą. Julka zdawała się usypiać z uśmiechem.

Była już późna godzina, jedna świeca paliła się w pierwszej izdebce... zapukano do drzwi... otworzy się cicho i w progu ukazała się wysoka postać czarna, z twarzą zakwiefioną...

Zdziwione obie czekały, co te późne odwiedziny znaczyć mają. Przybyłe kobiety nie podnosiły czarnych kwefów. Starsza wreszcie z widocznym wzruszeniem postąpiła ku wdowie.

— Pani moja — rzekła nieśmiało, oglądając się trwożliwie — jestem jedną z kilku osób... ze stowarzyszenia, które szuka biednych, opuszczonych sierot i wdów, aby im przynieść pomoc i słowo pociechy... Słyszałyśmy o nieszczęściach waszych — przybywam w nadziei, że wam w czemś użyteczną być potrafię...

Domawiając tych wyrazów kobieta obejrzała się i chwyciwszy krzesło, które jej towarzysza poddała, upadła na nie napół omdlała. Hela podbiegła ku niej, potem po wodę, którą jej przyniosła. Nieznajoma biorąc szklankę, ścisnęła jej rękę w drżącą dłoń, zatrzymała długo ze wzruszeniem, i uchyliwszy zasłonę, zbliżyła usta blade do szklanki... Ale w tejże chwili krzyknęła i omdlała zupełnie.

Przerazili się wszyscy, najbardziej jednak towarzysza, która dobyte flakon z zapachami, aby ją co najprędzej ocucić... otoczyły ją wszystkie, podniesione spadły zasłonę.

Hela ujrzała zdziwiona piękną, szlachetnych rysów twarz, trupią prawie bledością okrytą, ale z uśmiechem błogim na ustach.

Powieki jej wkrótce podniosły się i wzrok łagodny spoczął na Heli... z upragnieniem, z ciekawością jakąś pożerającą. Łzy płynęły z oczów, drżała... Trwało to chwilę, milczeli wszyscy, dopiero cichy szept towarzyszki oprzytomnił omdlałą... podniosła się z wolna i cicho zaczęła przepraszać Ksawerowę.

— Daruj mi pani — rzekła — to wielki tydzień, to post,

osłabioną byłam, a chciałam tu przyjść koniecznie. Przyjm pani małą pomoc odemnie, a wierz mi, klnę się na Boga, który dziś zmartwychwstał, że to ani dar ani jałmużna — ale spłat części należnego długu.

To rzekłszy, słabym głosem włożyła w ręce zdumionej Ksawerowej woreczek i spojrzawszy na Helę dodała ciszej: — Proszę was o jedno, to żebyście o mojej u was bytności nie wspominały nikomu. Bractwo nasze w cichości obowiązki swe spełnia... i pozwólcie mi jeszcze... niech córkę waszą ucałuję.

Wyciągnęła ręce ku Heli, która z jakimś wzruszeniem do kolan jej przypadła, podniosła ją i objąwszy czule, całując, zaszła się od płaczu i jęku. Towarzysza trochę przelekła musiała ją oderwać gwałtem z tego uścisku i spieszenie pociągnęła z sobą. Wyszły — a po oddaleniu się ich, Hela i Ksawerowa długo zdziwione stały i nieme... jakby pod wrażeniem cudu jakiegoś, którego sobie wytłumaczyć nie umiały. Wreście wdowa oprzytomniała, otrząsała się i zawołała — Helo... to była matka twoja!...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

W I E R S Z *)

POŚWIĘCONY PAMIĘCI

HRABIANKI FELICYI GRABOWSKIEJ,

ZGASZEJ WE WIOŚNIE SWOJEGO ŻYCIA.

Na zimnym świecie, pośród zimnych ludzi,
Częstokroć anioł zawita
I swą czystością uczucie rozbudzi
Jak kwiat, co z ziemi rozkwita.

Bo taką wielką jest siła anioła,
Że wszystko przed nią upada,
Iskrę najtkliwszej miłości wywoła
I Bogu tę iskrę składa.

I tyś dziewico na ziemię zstąpiła
Czystym obłokiem owiana,
Aleś do nieba wcześniej powróciła,
Tak młoda, tyle kochana.

Uplotaś w wieniec nieśmiertelne kwiaty,
Których ta ziemia nie skruszy,
I uleciałaś jak anioł skrzydlaty
Z modlitwą w ustach i w duszy.

Już dziś szczęśliwa w krainie miłości
Bogu hymn śpiewasz natchniona,
Wolna od cierpień, od łez, od żalości —
Jakby na nowo zrodzona.

Tak! tyś szczęśliwa, na wieczności łonie
Podziwiasz Majestat Boski,
W błogim pokoju twoja dusza tonie —
Już wolna od wszelkiej troski.

Już pożegnałaś tę ziemię goryczy,
Gdzie same ciernie i głogi,
Gdzie łez wylanych żaden nie policzy,
Tak człowiek w szczęście ubogi!
Już pożegnałaś dolinę boleści,
Gdzie nawet w szczęściu cierpienie,
Gdzie w młodym pączku już owad się mieści,
Który przynosi zniszczenie.

O tkliwa duszo, Bóg ciebie zrozumie,
Zapomnisz o troskach świata,
W nim znajdziesz Ojca, który kochać umie,
A w każdym aniele — brata.

*) Wiersz autora „Pamiętników Soplicy“ Henryka hr. Rzewuskiego, własnoręcznie przez niego napisany w Pobikrach na Podlasiu, udzielony redakcyi z prywatnego pamiętnika.

NOTATKI WĘDROWCA Z MUSU.

II.

WSPOMNIENIA NORMANDYI.

ZDOBYCIE ZAMKU FÉCAMP POD KONIEC XVI WIEKU.

„Zuchwalili się iść na wierzch góry.“

Budny. Biblja Num. 14. 44.

„Śmialemu szczęście dopomaga.“

Cnapius. Adagia.

Jeżeli siadłszy na jakich zwaliskach, rozrzuconych po skalistym wybrzeżu, pomiędzy cieśniną *La Manche* a miastem *Fécamp*, potoczysz wzrokiem dokoła i w swobodnym zanurzysz się dumaniu, znajdziesz niemałą uciechę dla oczu ciała i dla oczu ducha, uciechę, jaką nastrecać zwykły: myśl wzniosła i szczytny widok. Na wschód, na północ i na południe ścielą się żyźne płaszczyny: tłuste pastwiska Normandyi, przerznięte rzekami i ocienionemi wzgórzami. A pod stopami twojemi, w głębiach wąskiego i krętego rozdołu, ciągnie się długa, długa ulica, której kominy i dymniki sterczą tu i ówdzie z pomiędzy dwóch szarych i jałowych pagórków; to miasto *Fécamp*, gród starożytny: celtycki jego rodowód powikłał się z chlubą z rzymskim najazdem ¹⁾.

Zapatrując się na miasto z góry rzekłbyś, iż wąż długi, z czarnemi i szaremi łuskami, zaległ głęboki rozdoł na pół mili, zabezpieczając się od wszelkiego wiatru, i głowę swoją nad brzegiem morza pochylił. Schodzisz do miasta jakoby w przepaść, niedostrzeganą o sto sążni od swojego otworu. Niechże powstaną drogi żelazne, ze swojemi kolejami w prostym kierunku, i arkady ich zawieszone między dwiema górami: a będzie można przekroczyć miasto jak strumień, i wędrowiec, przybywający w nocy, szukać będzie grodu w krainie gnomów.

Pomiędzy tysiącem domów, jednostajnych i posępnych, wznosi się sławny religijny pomnik: opactwo fekampskie. Widok tych starych kolosów, w pośrodku nowożytnych miast o wątłych budowach, zdumiewa i rozrzewnia zarazem. Gotów jesteś zagadnąć, ażali to nie są goście starych czasów, wiekiste olbrzymy, opóźnione pomiędzy wyrodnemi plemionami i upatrujące w odległości, po nad głowami naszymi, braci swoich olbrzymów, zaniedbanych, wygnanych! Ileżto pokoleń przemknęło się pod ich stopami i zaginęło ze swojemi uczuciami, wiarą i chwałą. I cóż pozostało owym starcom, skazanym na ruiny życia i pochylonym nad grobami całego rodu, jeżeli nie płakać i czekać?

Normandowie zburzywszy klasztor żeński, założony trzysta lat wprzód ²⁾ przez niejakiego Waninga, *bersa*

lub barona krainy *Cau*, wzniesli na gruzach jego nowe mury dla zakonników reguły św. Benedykta. Nowe opactwo, rozpoczęte w 988 r. przez Ryszarda I, księcia Normandyi, i uposażone bogatemi darami jego następców, przeżyło ośm wieków ciągłego powodzenia, począwszy od dnia urodzin, aż do dnia zgonu, od X. do XVIII wieku. W XVII wieku dało przytułek dostojnemu przybyszowi, który królewską koronę na kaptur mnicha i troski pychy na spokój klasztornej pokory zamienił. Tym przybyszem był Jan Kazimierz, król polski. I mimowolnie przychodzą ci zaraz na myśl prorocze słowa, które przemawiając po raz ostatni z tronu do narodu wyrzekł, słowa, które się w sto trzydzieści lat później tak boleśnie ziściły! Zaiste nie był on fałszywym prorokiem, *falsus vates*, acz nim gorąco być pragnął. Przy końcu XVIII wieku opactwo zostało zburzone, sam tylko kościół pozostał.

Książęta Normandzcy, królowie Anglii, mieli w *Fécamp* swój zamek; uchowały się z niego dotąd jedynie szczęty kwadratowej wieży, zwanej babilońską wieżą (*Tour de Babylone*), uchowały się również niektóre poszczerbione ich grobowce w fekampskim kościele.

Od strony zachodniej wzrok spada z wysokości 600 stóp na niezmierność morza. Fale morskie, wyjąwszy tylko kilku godzin opadnienia wód (*basses marées*), tłuką nieustannie skaliste wybrzeże, przyróżoną twierdzą ziemi od Oceanu. Wielki tu obraz rozwija się przed tobą, obraz nakazujący poszanowanie i zawsze szczytny, któremu nie bądź jaka pochwała ubliżyć może; względem którego każde porównanie byłoby zniewagą; obraz, nad którym wypisać tylko można ów wiersz z księgi rodzaju:

„a duch Boży unaszał się nad wodami.“

Jeżeli lubisz myśl swoją w odległe czasy zapuszczać, ileżto wielkich wspomnień z tych wszystkich zwalisk wywołać możesz! Niegdyś, na szczycie tej oto góry, wódz zaborców północnych osadził potężną twierdzą, tarczę królestwa Neustrii, przeciwko nowym zaborcom. Tym wodzem był Wilhelm *Longue-épée*. Położenie zamku robiło go po wszystkie czasy miejscem niezdobytym dla człowieka, schronieniem przystępnem tylko dla ziemnego i morskiego ptactwa. Zamek ten nie mógł się obawiać innego szturm, prócz szturm żywiołów; ani też oblężenia innych wrogów, prócz wiatrów i fali, z których w dniach burzy

¹⁾ *Fécamp*, za Cezara, miało się zwać *Fisci campus*, jako główne miejsce poboru podatków.

²⁾ Około r. 622.

jedne świszczą i wichrzą na szczycie góry, drugie podrywają rycząc jej podnóże.

Człowiek nie zdoła zmierzyć tej spadzistości 600 stóp, bez zawrotu głowy i dreszczu serca. Wdarcie się z tej strony do zamku zdaje się niepodobieństwem. Z tem wszystkim rodzą się ludzie ze śmiałością, wyrównyującą bez wątpienia tajemniczemu ich posłannictwu; istoty nieodgadnione po największej części, Bogu tylko znajome.

Około r. 1593 dwa stronnictwa rozdzierały Francję, wdziecząc się do niej na wyścigi, lub mordercze z kolei zadając jej ciosy; *Liga*, republikańska konwencya, mianująca się religijną, pod sterem komitetu szesnastu (*Comité des Seize*) i protektoryatem księcia *de Majenne* — i prawowitość (*legitimé*), władza zużyta przez *Walezyuszów*, dziedzictwo do zdobycia dla *Burbonów*, mieczem *Henryka z Nawarry*. Z tych krwawych rozterek, z tych rodzinnych kłótni cóż zyskiwała Francya? Sławę i żalobę. Z obu stron walczący byli jej synami; jedna w obu stronach zaciętość, jedna waleczność. Hasłem wojny była Francja, tak pod chorągwią *Ligi* z czerwonym lotaryńskim krzyżem, jak pod białym sztandarem z liljami *Bearńczyka*.

Miasto *Fecamp* trzymało z *Ligą*, oglądając się na przykład stolicy prowincyi. Ale *Rouen*, acz obleżone przez samegoż *Henryka*, oparło się; a *Fécamp* musiało oddać swoje klucze *Armandowi Gontaud*, baronowi *de Biron*. Po pięknej obronie, załoga wyszła z honorami wojennemi; ale szlachcic dowodzący nią poprzysiągł na Boga, że wróci do miasta z honorami tryumfu.

Tym szlachcicem był *Goustimenil*, *Sieur de Boisrosé*.

Zaledwie wyszedł z twierdzy, powziął niesłychany zamiar, w śmiałości poczęty, w doświadczeniu dojrzały. Nie zbywało na sposobach wykonania; dość było na tem, żeby je głowa jego podała. Co się zaś tyczy narzędzi, takowych dostarczyła mu dobra jego wziętość. Pięćdziesięciu ludzi, tak majtków, jak żołnierzy, oddało mu się z duszą i ciałem. Dwaj najśmielsi, udając zbiegów, zaciągnęli się w szeregi zamkowej załogi. *Boisrosé* zamyslał podejść nieprzyjaciół; ale ani tajemną wycieczką, ani wdarciem się ze strony miasta. Wszystkie podobne wybiegi, snadne do powzięcia, snadne są do zbiccia. Śmiałość ma upodobanie w wielkich przedsięwzięciach, jak powiada nasz *Libicki* w starym przekładzie *Horacyusza*:

„Wszystkiego radzi śmiałowie próbują.“

Wyraz nie podobna jest warownią więcej niebezpieczną dla tych, którzy pod jej cieniem zasypiają, niż dla tych, którzy się na nią obces rzucają.

„Zuchwały to jest hazard — jednak świat tem stoi: Mniej czasem śmiały traci, niż co się zbyt boi³⁾“.

Boisrosé postanowił odzyskać miasto przez zamek,

prawdziwe gniazdo orle, zawieszone na skalistym wybrzeżu; podobnie jak 1793 porucznik artylerji *Bonaparte* odgadł możność zdobycia *Tulonu*, przez zburzenie twierdzy *La-malgue*.

Boisrosé potrzebował nocy bardzo ciemnej, opadnienia morza, drabiny na 600 stóp długiej, przyjaciół czujnych w około niego i w twierdzy, a mianowicie rąk silnych i czynnych i serc nieustraszonych. Wszystko odpowiedziało jego oczekiwaniu. Od sześciu miesięcy, każdej nocy, jeden ze zbiegów czuwał na tarasie zamkowym, z okiem wyłożonem, z uchem nadstawionem śledząc w pośród wrzawy wieczornej umówionych znaków! Nadeszła chwila opadnienia morza; fala oddaliła się na 10 sążni od podnóża skały; noc ściemniała; a towarzysze *Boisrosé*'go, zuchwali jego zuchwałstwem, silni zaufaniem i poświęceniem, dociekali, ażali nie ma porozumień między niebem a morzem, podobnie jak między twierdzą a nimi.

O naznaczonej godzinie, *Boisrosé* siada z ludźmi swoimi na dwie szalupy i przybija do złamów skalistych, odezwanych od góry. Za danym znakiem długi sznur, przytwierdzony jednym końcem na górze, pada mu pod nogi. Wódz przywiązuje do niego grubą linę, długą jak droga, którą odbyć trzeba, a opatrzoną w pewnych odległościach węzłami i drewnianymi, mocno zaciśniętymi szczeblami. Lina idzie w górę, wypręża się wzdłuż skalistej ściany i przeprowadzona przez strzelnicę, za pomocą grubej szyny żelaznej utwierdzoną zostaje.

A teraz na mury! Ludzie wyprawy, z pałaszem przy boku, ze strzelbą na plecach, przeciągają w milczeniu przed wodzem, który ma trzymać straż tylną. Jeden za drugim chwytają za szczeble w porządku; dwaj sierzanci trzymają czoło kolumny, za nimi wszelki odwrót zamknięty, bo *Boisrosé*, stawiając nogę na pierwszym szczeblu liny, poprzysiągł, że nikt nie wyjdzie z tej drogi, tylko przez strzelnicę twierdzy, chyba trup wpadnie do morza.

Wyobraźmy sobie teraz to dziwne wdzieranie się po drabinie sznurowej, prostopadle zawieszanej od murów twierdzy, wzdłuż spadzistej skały, na 600 stóp wysokiej. Wyobraźmy sobie tych pięćdziesięciu żołnierzy, nie widzących jeden drugiego, potrącających się głową i nogami, rozdzierających sobie ciało o ostre załamy skały, utrzymujących równowagę z tem większą usilnością, im więcej oddaleni od powierzchni morza, wspinających się z niesłychanym mozolem po najniebezpieczniejszej drodze, pomiędzy dwoma grożącymi ciągle niebezpieczeństwami. — Wyobraźmy sobie tych awanturniczych graczy, w grze rozpaczy, w której na dwadzieścia przypuszczeń jedno mają przypuszczenie zbawienia przeciwko dziewiętnastu śmierci.

Kolumna posuwa się coraz dalej wytrwale i śmiało. Noc coraz ciemniejsza; wiatr gwałtowny zrywa się od morza. Już słyhać grzmot fali, skupiającej się w rozhu-

³⁾ *Krasicki* w *Listach*.

kanym pędzie, rozbijającej się jedna o drugą i zalewającej nanowo spienioną wodą opuszczone brzegi. Morze wzbiera ciągle, burzliwe, ryczące; już coraz silniej tłucze skałę, a pryski jego ociekają po linie, wiszącej wśród wzburzonych żywiołów. Nie ma już ratunku dla zuchwałych awanturników od morza; fala zrywa szalupy i rzuca je na pełne morze, woda podniosła się na dziesięć stóp u podnóża skały.

Najśmielsze serce poddaje się trwodze i krew stygnie i myśl słupieje na samo wyobrażenie tej nocy pełnej zgrozy i ciemności, kiedy pomieszane wycia i morza i wichru rozlegają się po skalistych czeluściach; kiedy śmierć w tysiącznych postaciach krąży do koła łupu, chwiejącego się nad przepaścią, kiedy najłżejszy odgłos trwogi zbudzić może nieprzyjaciela o 300 stóp powyżej; kiedy jedno targnięcie ręki, jedno cięcie żelaza zerwać może linę i pograżyć w morzu tę żyjącą drabinę.

Kolumna posuwa się jeszcze w dobrym porządku, choć burza ćwiczy twarze, choć ostrza skały kaleczą ciała. Byłato walka człowieka z żywiołami, słabszy miał pokonać silniejszych. Już dwie części drogi przebyte, jedna tylko do przebycia zostaje. Boisrosé tryumfuje, mierząc różnicę opuszczonych szczeblów z temi, na które jeszcze wspiąć się trzeba, nim zatknie swój sztandar na murach i wykrzyknie: zwycięstwo!... Nagle ruch ustaje — wstrzymała się kolumna i wzdłuż liny ponura zapanowała cichość. Wówczas każdy z tych zawieszonych ludzi wszedł sam w siebie i zadrzał na przenikliwy świst wiatru, przelatującego po nad jego głową i na ryk przepaści, zięjącej pod nogami jego. Najodważniejsi struchleli, patrząc śmierci w oczy. Niepokojny wódz oczekiwał w okropnej niepewności objaśnienia tej przygody. Usta ustom podając wiadomość, przeniosły ją aż do uszów jego. „Pierwszemu sierżantowi zabrakło sił i odwagi.“ — To opóźnienie pozbawi życia pięćdziesięciu walecznych, a dzień tylko co nie zaświta. Jedna minuta wahania zniweczyć może cały zamiar i zgubić wszystkich. Ale Boisrosé w okamgnieniu odgadł, co mu czynić należało. On jeden tylko zachował całą zimną krew, całą moc umysłu wpośród swoich strwożonych i posępnych towarzyszy; on sam ręczy za całość wszystkich. Rozkazuje towarzyszom, aby się mieli na baczności i silnie trzymali się na swoich stanowiskach; a potem wdziera się ze szczebla na szczebel, przez owych pięćdziesięciu ludzi aż do nieszczęsnego sierżanta.

„Naprzód! tchórz!“ zawołał.

A ten, na wpół umarły z przestachu, krępuje się do liny i nie chce iść dalej.

„Nędzniku! gubisz nas wszystkich!“

Sierżant drząc cały i zimnym oblany potem nic nie odpowiada. Już sznur wymykał mu się z ręki — on chwytą się wodza i ściskając go konwulsyjnie, ciągnie za sobą w przepaść. Boisrosé jedną ręką zatrzymuje go z całej siły, a drugą przykładając mu sztylet do gardła: „Naprzód, na Boga! Do twierdzy, albo do morza!“ — krzyknął. A ton groźny wyrazów, które mu się w sercu odbiły, i ostrze sztyletu, rażące mu gardło, przywracają owego człowieka do życia. Poddaje się swemu losowi, wdziera się na wyższy szczebel; a częścią utrzymywany przez wodza, częścią ciągniony przez niego, idzie w górę i cała kolumna posuwa się za nim, naciskająca na siebie, milcząca.

Zwycięstwo! — Ostatni krok zrobiony, drabina opuszczona, mur twierdzy zajęty. Towarzysze Boisroségo uczuwszy ziemię pod swojemi stopami, nabierają serca i śmiało rozbiegają się po twierdzy. Straż podchwyciona, zamordowana!

„Niech żyje Boisrosé! — Miasto nasze!... Naprzód! Naprzód!“ A wystrzał pięćdziesięciu muszkietów rozlega się po ulicach i zrywa ze snu załogę. Ale cóż podołać mogą nieuzbrojeni i na wpół ocknieni żołnierze przeciwko tej szatańskiej legii, która im wsiadła na karki? Czy z nieba spadli? — Czy ich piekło wyzionęło? Twierdza cała zajęta; załoga, zdjeta strachem i podziwieniem, rzuca oręż pod nogi zwycięzcy.

Tym sposobem miasto *Fécamp* dostało się znowu Lidze, i dopiero je sam Boisrosé oddał Henrykowi, który z hugonoty katolikiem dla korony został.

A król Henryk, szukający pobratymstwa oręża i honoru ze wszystkimi prawymi synami Francji, wzięwszy jedną ręką oddane sobie klucze przez Boisroségo, oddał mu je drugą, mówiąc; „*Ventre Saint Gris!*“)“ Mój mistrzu, jesteś najdzielniejszym wydzieraczem zamków, o jakim kiedy słyszałem; nie mogę też w lepsze ręce powierzyć straży naszego dobrego miasta *Fécamp*, jak w ręce walecznego Boisrosé.

*) Zwykle zaklęcia Henryka.

ARTUR GROTTER.

Oddawna już dłużni jesteśmy czytelnikom *STRZECZY* zyciorys naszego nieodżałowanego poety-malarza ś. p. Artura Grottera. Zbываło nam dotąd na dokładnym wizerunku jego, i dopiero teraz uzyskawszy go, wypełniamy ciążący na nas obowiązek.

Artur Grotter, którego nie bez powodu nazwalimy poetą-malarzem, gdyż utwory jego są prawdziwym poematem narodowym, urodził się we Lwowie w r. 1837.

Powszechnem jest mniemanie, stwierdzone zresztą niejednym przykładem, że życie wielkich ludzi już od kolebki

odznacza się jakimiś nadzwyczajnymi objawami ducha. Nie jestto zapewne reguła bez wyjątku, ale w tym wypadku przynajmniej zachodzi ona jak najzupełniejsze zastosowanie. „*Poetae nascuntur*“ mawiali Rzymianie, a na Grottgerze mamy dowód najlepszy, że nie tylko poeci, ale i prawdziwi artyści wstępując na ten świat, przynoszą już z sobą namaszczenie z góry.

Najpierwsze — że tak powiemy — zaranie życia tego artysty jaśniało już wyraźnymi połyskami geniuszu. Dzieciną jeszcze będąc sięgał z szczególnem upodobaniem za pędzlem i paletą w pracowni ojca, który był również wielkim miłośnikiem malarstwa; a później, gdy przybywało coraz więcej natchnienia duszy a pewności ręce, był najmilszą zabawką jego ołówek lub węgiel, któremi bujna fantazja dziecka wytwarzała tysiące obrazków i rysunków, zdradzających przy całej swej nieudolności niezaprzeczone dowody wielkiego talentu. Pierwszym krokiem jego na polu sztuki przewodniczył sławny nasz akwarelista Juliusz Kossak, a i sam ojciec widząc rozwijający się tak potężnie talent w dziecku, wspierał je swoją radą i doświadczeniem.

W dwunastym roku życia Artur, oddany do szkół publicznych we Lwowie, nierozstawał się nigdy z pędzlem i ołówkiem; wszystek czas wolny od nauk zajmowała ulubiona sztuka, która też była już wtedy poniekąd karmicielką i protektorką mającego bardzo szczupłe wyposażenie ucznia. Wnet bowiem zwrócił na siebie talent młodego artysty uwagę znawców, a kilka koni wymalowanych dla komenderującego generała Schlicka, zjednało mu tegoż względy i poparcie.

Ale dopiero rok 1851 stał się niejako stanowczym w życiu Grottgera. W jesieni tegoż roku odbywał cesarz

Franciszek Józef uroczysty wjazd do Lwowa; artysta pochwycił tę scenę na papier wodnymi farbami, i akwarela ta przedłożona cesarzowi — zajęła go tak dalece, że wyznaczył dla młodego malarza roczne stypendjum w kwocie 600 złr., ażeby mógł kształcić się dalej. Ten zasiłek uczynił możliwem wysłanie Artura do akademii sztuk pięknych w Krakowie, a ztamtąd po kilkuletnich gruntownych studiach, odbytych pod umiejętnym kierunkiem profesora Łuszczkiewicza, przeniósł się nasz artysta do Wiednia, gdzie profesor Ruben, przekonawszy się o niepospolitych jego

zdolnościach, umieścił go wnet w tak zwanej szkole mistrzów (*Meister-Schule*), przeznaczoną tylko do wyższego kształcenia skończonych już artystów.

Odtąd też dopiero datuje się właściwa działalność artystyczna Grottgera. Geniusz jego, poczuwszy się na siłach, trysnął wnet obfitem źródłem twórczego natchnienia, i pod mistrzowską ręką jego wyrastały jak czarodziejskie kwiaty liczne utwory pędzla i ołówka, które pozostaną na zawsze przedmiotem podziwu i najchlubniejszym świadectwem potęgi polskiego ducha w dziedzinie sztuki. Wrogi nasze,

usiłujące wmówić w świat przesiąkły nawskróś egoizmem, że Polska już nie żyje, muszą z hańbą zamilknąć wobec tak wielkich objawów jej żywotności; a twierdzeniu szkolnych mędrców, że tylko u narodów potężnych mogą kwitnąć sztuki, zadają najwyraźniej kłamstwo dzieła naszych mistrzów we wszystkich gałęziach sztuki, których sława opromienia jak aureola męczeńską skroń upadającej pod krzyżem swoim Polski.

Pierwszym tworem Grottgera większych rozmiarów był obraz olejny, przedstawiający „Pobudkę konfederatów“, a przysłany w r. 1858 na urządzoną we Lwowie przez



Towarzystwo dobroczynności wystawę obrazów. Niepotrzebujemy przytaczać tu zdań, wyrzeczonych w swoim czasie o tym obrazie; dość będzie powiedzieć, że sprawił on w ogóle bardzo pochlebne dla artysty wrażenie i obudził wielkie nadzieje, które też wkrótce dalszemi jego pracami jak najświetniej zostały usprawiedliwione. Czem zaś najbardziej ujął dla siebie młody mistrz odrazu polskie serce, był to czysto narodowy i patryotyczny charakter tego utworu, charakter, któremu pozostał on wiernym przez całe życie, niedając się zepchnąć z raz obranego kierunku żadnemi względami poziomemi. Po „Konfederatach“ nastąpił wkrótce szereg innych, ale pomniejszych obrazów olejnych, między którymi odznaczała się najwięcej przysłana w kilka lat potem na wystawę krakowską „Scena z wojny trzydziestoletniej.“ Poźniejszym jeszcze a największym z jego utworów olejnych był obraz przedstawiający „Ucieczkę Henryka Walezyusza z zamku krakowskiego,“ który krytyka artystyczna, przyznawszy mu zgodnie najwyższą wartość pomiędzy dawniejszemi pracami artysty, zaliczyła do rzędu najznakomitszych dzieł sztuki malarskiej w Polsce.

Ten obraz był też niejako chlubnem zamknięciem teki olejnych prac Grottgera. Czuł to artysta pełen poetycznego natchnienia, iż twórczy polot jego ducha krępowany zanadto więzy kolorytu, które porównalibyśmy z więzami rymu w poezji, i pragnąc przeto oswobodzić się z nich odłożył pędzel, a pozostał tylko przy ołówku, którym kreślił odtąd swobodnie swoje prawdziwe arcydzieła poezji obrazowej. Pierwszy przedmiot do jeniálních utworów jego w tym rodzaju poddały mu wypadki warszawskie w roku 1861, i osnute na ich tle album pod nazwą „Warszawy“ stało się niejako prologiem wielkiej malowniczej epopei narodowej, którą w dalszych utworach swoich tak po mistrzowsku wyśpiewała bolejąca nad niedolą ojczyzny jego dusza.

Pojawienie się „Warszawy,“ która rozpowszechniła się bardzo szybko w odciskach fotograficznych, a która obok wielkiej wartości artystycznej miała jeszcze nietylko dla nas ale i wobec całej Europy znaczenie aktu politycznego, sprawiło wszędzie nadzwyczajne wrażenie. Poruszały każdego do łez te bolesne sceny z męczeńskiej trajedji narodu; ale małoduszna polityka ówczesnego rządu upatrzyła i w tem niebezpieczeństwo, zagrażające co najmniej egzystencji całego państwa. Policja więc konfiskowała skwapliwie „Warszawę“ po sklepach, a harcopolowe powagi wiedeńskiej akademii malarskiej, zamiast uszanować patryotyzm artysty, zagroziły mu przeciwnie utratą stypendjum, jeźli by pracował dalej w obranym kierunku.

Ale gdzież jest władza na świecie, która mogłaby zakreślać drogi i granice geniuszom? Jakież względy zdolają ugiąć charakter, stalony w ogniu prawdziwej miłości ojczyzny? Grottger złożył tu właśnie najświetniejszy dowód swojej wielkości i swojego charakteru; ostrzeżenie nie za-

chwiało go bynajmniej, na groźbę odpowiedział nowym utworem, tchnącym niemal gorętszym jeszcze patryotyzmem, mianowicie „Polonią,“ osnutą na tle wypadków ostatniego powstania. Komuż z nas nie jest znanem to arcydzieło sztuki, opowiadające wymowniej niż wszelkie opisy ostatnią bohaterską walkę narodu z dziczą, prawa z przemocą, cywilizacji z barbarzyństwem? Fotografia rozpowszechniła „Polonię“ równie szybko, jak „Warszawę;“ ale też równie szybko spełniła się groźba, którą napróżno usiłowano odstraszyć artystę.

Grottger postradał stypendjum, ale nigdy z powodu tej straty nie słyszano skargi z ust jego, chociaż w istocie było odtąd życie jego jednym prawie nieprzerwanem pasmem cierpień i najboleśniejszych zawodów. Artysta zapatrzony w niebo, musiał nieraz staczać ciężkie walki ze światem; geniusz musiał dla kawałka chleba najmować się na wysługi dziennemu wyrobnictwu i spekulacji; a kraj — ha, smutno wyznać — kraj patrzył na to obojętnie, nie troszcząc się nawet o to, by tak drogie dla Polski dzieła polskiego mistrza w obce nieprzechodziły ręce. Większa część i to najznakomitszych utworów Grottgera pozostała za granicą, a nawet i „Polonia,“ ta prawdziwa perła rodzimej sztuki, nie znalazła kupca w kraju, lecz stała się własnością cudzoziemca, hrabiego Palfy'ego, który poczytał sobie za zaszczyt nabycie tak cennego dzieła. Co więcej, szlachetny ten miłośnik sztuki ofiarował nawet Grottgerowi swoją przyjaźń i gościnność we własnym domu, ale artysta ceniąc wyżej niezawisłość swoją nie chciał korzystać z tej ofiary, i wolał żyć dalej o własnych siłach. W tym właśnie czasie wychodziło w Wiedniu pismo ilustrowane pod tyt.: „Postęp“. Grottger zasiliał je przez dłuższy czas swojemi rysunkami, za które mu dość lichy płacono, a w końcu wywdzięczono się jeszcze w sposób wcale niekoleżeński. Krótko mówiąc, przez objęcie redakcji tego pisma pogorszyła się tak dalece materyalna sytuacja artysty, że nie pozostawało mu nic innego, jak tylko ratować wolność swoją spiesznem wydaleniem się z Wiednia. Nie przytoczyliśmy tej okoliczności dlatego, byśmy się lubowali w wywlekaniu na jaw brudów prywatnych, lecz tylko dla okazania, z jakimi przykrościami musiał walczyć artysta, i jak wielką musiała być jego miłość sztuki, kiedy nie dała mu upaść na duchu i wyrzec się na zawsze tak niewdzięcznego dla siebie zawodu. Bo też w istocie nawet w tych czasach największego niedostatku nie spoczywał nigdy ołówek jego, a jedną z najcenniejszych prac jego w tej epoce była „Przechadzka w saskim ogrodzie,“ którą pomimo cisnących potrzeb własnych ofiarował na loteryę na korzyść rannych powstańców.

Wyjazd Grottgera z Wiednia nastąpił — jak mówiliśmy — z powodu bardzo przykrych okoliczności. Szczęściem jednak zesłała mu Opatrzność pomoc w osobie przyjaciela jego z młodzieńczych lat, zacnego hrabiego T.,

który zabrał go do dóbr swoich w Galicyi; i tu dopiero znalazł skołatany umysł artysty chwilowe przynajmniej ukojenie i wypoczynek. Prawie dwa lata przepędził on odtąd po części we Lwowie, a najwięcej w dobrach hrabiego T. w Śniatynce i w Wróblowicach, i czas ten był podobno najprzyjemniejszym w jego krótkim ale pełnym bolesnych doświadczeń życiu. Tamto ogrzewany miłem i zacnem towarzystwem, i orzeźwiony spokojem, jakiego dotąd nigdy prawie nieużywał, mógł swobodnie oddawać się ulubionej swej sztuce; i temu też pobytowi zawdzięczamy cały szereg nowych, prześlicznych utworów jego, a mianowicie dwóch jeszcze części rysunkowej epopei polskiej: „Lituaniki“ i „Wieczorów zimowych,“ z których ostatnią znamy z doskonałych odbić fotograficznych pana Teodora Szajnoka; dalej wielce szacowny obraz olejny przedstawiający wygnańców sybirskich, którzy korzystają z dnia świątecznego, ażeby wyciosać krzyż nagrobny zmarłemu towarzyszowi; a nakoniec pierwszą część równie poetycznego utworu pod tyt.: „Wojna,“ który przed samym zgonem już ukończył w Paryżu, a który składa się z szeregu obrazów, przedstawiających klęski i okropności wojny.

Ale niestety już wtedy zaczęły się objawiać pierwsze, zatrważające symptomata słabości piersiowej, która prędzej, niż się obawiano, miała się stać przyczyną jego zgonu. Jeszcze na rok przed wyjazdem ze Śniatynki dostał tam na polowaniu po raz pierwszy krwiotoku płucowego, i od tego czasu zapadał na zdrowiu coraz bardziej. W lecie roku 1867 otwartą została wystawa paryzka. Grottger pragnął gorąco udać się tam, ale zbywało mu na środkach; wystawiona w tym celu na sprzedaż „Lituanika“ nie znalazła równie jak „Polonia“ nabywcy w rodzinnym kraju. Wreszcie przyszła mu w pomoc szlachetna szczodrość jedynego dziś mecenasa sztuki i literatury w naszym kraju, hr. Włodz. Dzieduszyckiego, i życzenie artysty spełniło się; pojechał do Paryża, ale niestety z tem smutnem przeznaczeniem, ażeby spocząć tam już na wieki.

Jeszcze przed wyjazdem do Paryża posłał tam na wystawę swoją „Lituanikę,“ i dzieło to utorowało mu drogę w tamtejszym świecie artystycznym; przyjęto go

bardzo zaszczytnie, a znakomity malarz Gerome ofiarował mu swoją przyjaźń i pomoc. Pobyt jego w Paryżu nie był też również straconym dla sztuki. Pracował on tam ciągle, a nawet z większą prawie gorliwością niż kiedykolwiek, jak gdyby przeczuwał, że dni jego były już policzone. Tam ukończył swoją „Wojnę;“ tam wykończył obraz większych rozmiarów, przedstawiający statwę konającego Napoleona I., otoczoną trzema pokoleniami widzów, i ztamtąd nakoniec przysłał na wystawę warszawską mniejszy obraz olejny: „Dwie matki,“ którego kopię podał w drzeworycie warszawski Tygodnik ilustrowany.

To była jego praca ostatnia, i odtąd zaczęło przygasać życie jego coraz szybciej. Pod jesień roku 1867 pogorszył się stan zdrowia jego nagle tak mocno, że lekarze doradzali mu szybki wyjazd do południowych okolic Francji pod łagodniejszy klimat. Ale brak funduszu zmusił go odwlec nieco tę podróż, i dopiero po jakimś czasie spieniężywszy resztki mienia zdołał odjechać do Pau; ratunek ten jednakże okazał się już bezskutecznym. Oddech rwał się coraz bardziej, ostatnie zasoby wyczerpały się prawie całkiem, i nieszczęśliwy artysta pozbawiony wszelkiej pomocy i pociechy dogorywał w najokropniejszym położeniu. Na kilkanaście dni przed zgonem otrzymał wiadomość telegrafem, że cesarz austriacki kupił na wystawie jego „Wojnę“ za 8000 franków. Wieść ta pokrzepiła go nieco, i gdy wkrótce potem nadesłano mu te pieniądze, pospieszył za poradą lekarzy z nową nadzieją dalej ku południowi w Pireneje do *Amelies les Bains*; ale tu niestety po kilku dniach dosięgła już śmierć nieubłagana swojej ofiary na dniu 13. listopada 1867.

Tak skończył nieśmiertelnej sławy artysta, który żył i pracował tylko dla Polski, złamany w kwiecie wieku cierpieniem i niedostatkiem pod obcem niebem, pośród obcych ludzi, i zgonu jego nie osładzała nawet myśl, iż kości jego spoczną na tej ziemi, którą kochał tak gorąco. A kraj jak za życia był mu macochą, tak został nią i po śmierci. Bolesna to rzecz—i oby dały nieba, byśmy nie potrzebowali już nigdy więcej sami sobie czynić podobnych wyrzutów!

F. W.

(Dodatkowo do niniejszego życiorysu artysty podajemy dwie drzeworytnicze kopie jego niezrównanych rysunków, z których jeden przedstawia „Uroczystość w dniu zadusznym na cmentarzu w Warszawie,“ a drugi scenę z „Polonii,“ przedstawiającą „Napad“).



„DZIEŃ ZADUSZNY“ z rysunków GROTTERA.



„NAPAD“ z rysunków GROTTERA.

WSPOMNIENIA Z NIEMIEC.

WYJĄTEK Z PAMIĘTNIKÓW.

GRANICA SASKA I SAKSONIA, LIPSK I DREZNO.

(Dokoń.). Jakoż nie było i czego bawić długo w jednym miejscu. Przejrzenie porządných rachunków i zapasów było łatwe; wyprawienie pieniędzy lub efektów szło zwykłemi drogami na przeznaczone miejsca, a po zamknięciu rachunków zostawała tylko jeszcze konferencya z redaktorami, przyjaźne złożenie się z członkami komitetu, a na uczenie lub balu danym z tego powodu wzniesienie kilku toastów stosownych, wpisanie się do kilku albumów, ot i na tem kończyły się okrągło czynności rzeczy, a aniołowie stróże brali nas po uczenie lub balu w opiekę i odprowadzali do najbliższej stolicy małego księstwa w sąsiedztwie, lub do najbliższego komitetu „Przyjaciół Polaków.“

Była to wrzawa serdecznych stosunków ludzkich, i serce rosło myśląc, że oręż polski wysłużył tę sympatyę dla obrońców sprawy. Niełatwo czasem było się połapać w tej wrzawie, w tym zamięcie serdecznych i rzeczywistych stosunków, z których trzeba było wynieść dla generała bardzo ścisły raport, po których trzeba było zostawić ludzkie i serdeczne wspomnienia na miejscu.

Jenerał wyprawił mnie spieszo z Altenburga, a że mi nie było wolno pożegnać się nawet z kolegami w Lipsku, zmieniłem tylko ubranie i ruszyłem w podróż dalszą przez Bawaryę ku Renowi, bo w powrocie dopiero miałem zwiedzić małe księstwa środkowych Niemiec.

Podróży tej nie będę opisywał szczegółowo, bo wszędzie powtarzały się te same stosunki i sceny; tyle tylko powiem, że sam sobie bardzo trudną wypisał instrukcyę, i gdyby jenerał nie był dwa punkta tej instrukcyi przemazał, a inne złagodził, byłbym musiał często działać przeciwko danej mi instrukcyi.

Mimochodem powiem tutaj i to jeszcze, że sprawa wolności stoi dzisiaj może w Niemczech pozornie lepiej, lecz sprawa ludzkości i narodu, jak tam, tak i wszędzie upadła, a dziś nie przeprawiłby nikt przez środkowe Niemcy na koscie Niemiec do 8.000 ludzi noszących na sobie polityczny charakter wychodźstwa.

Kiedym do jenerała Bema po czterech tygodniach do Altenburga powrócił, kazał mi dni kilka pozostać przy sobie, i w skutek raportu mojego rozwiązał już część komitetu na tej linii, przez które już kolumn nie można było przeprowadzać. Była tedy niemała liczba listów do pisanja i dziękczynnych adresów, któremi tę czynność zakończyć wypadało.

Wiara nasza, która w wygodnych powozach przejeżdżała kraj od Elby do Renu, gościnnie na tej drodze po-

dejmowana, nie wiedziała nawet o tem, że była wyższą ręką, która jej pochodem przez Niemcy kierowała; i dopiero wówczas, gdy chłodne przyjęcie kolumny nasze spotkało we Francyi, i dorazu nieopatrzone znalazły się na gołej sympatyi francuskiej, a pod strasznym rygorem ministra policyi—dopiero wówczas poczęła pojmować wiara, że to nie z przypadku w Niemczech tak przyjaźnie zostały się rzeczy, że ktoś obmyślał jej drogę i sposób przeprawy do dwustu mil prawie.

W Altenburgu miałem czas przypatrzeć się w przeciągu kilku dni jenerałowi i zatrudnieniom jego. Był to człowiek bardzo spokojny, w podziale godzin pracujący, w ciągu dnia bawiący się rysunkami po pracy; wychodził na przechadzkę dopiero wieczorem, szedł spać wcześniej, a był już ubrany o świcie.

Książę Altenburski wiedział o pobycie jenerała, i zaręczył mu bezpieczeństwo jego osoby, bo jenerał przedstawił się mu osobiście i książę považał go bardzo. Rzecz ta była jednakowoż trzymmana w tajemnicy, a nawet w Dreźnie i bliskim Lipsku nikt nie wiedział o tem, gdzie jenerał bawi; również z nas każdy, cośmy stali pod komendą jego, nie wiedział nigdy, jaki rozkaz padnie i co go jutro czeka? Wieczorem, gdy jenerał na przechadzkę wychodził, brał mnie z sobą, i tylko po mroku poznałem ten Altenburg i jego okolice.

Z pięknej, żyznej równiny wznosi się tu naga skała obronnie i na niej stoi zamek altenburskiego księcia. Jest to dzielnica domu saskiego, i z okien tego średniowiecznego zameczku jest widok na mil kilka w każdą stronę i przejrzyć można obszar całego kraju księstwa, które jest tem osoblwsze, że nikt nie posiada ziemi prócz księcia i włościan rolników.

Ci włościanie tworzą ród osobno, strojem, zwyczajami i obyczajami zupełnie odrębny. Stroje ludu są tu tak osobliwe i odznaczające się, iż wjeżdżając w granicę księstwa uderza odrazu ta rodowość odrębna. Lud jest rządzny, zamożny i z powołania rolnik. Patryarchalny związek łączy księcia z tym ludem, i każdej chwili dnia i nocy wolno jest Altenburczykowi odwiedzić dwór książęcy i zapędzić się do niego o wymiar sprawiedliwości, gdyby się przez zwykłe sądy czuł w czemkolwiek pokrzywdzonym. Wówczas to sędzi książę na skale (jak go nazywają) sam sprawy kmiece. W ważniejszych administracyjnych sprawach naradzają się przełożeni gmin z księciem osobiście, i wówczas muszą wszyscy dworacy księcia iść na ustęp.

Każde wesele kmieci przychodzi o mil kilka po błogosławieństwo księcia i jego rodziny. Widziałem taką jedną procesję w weselnych strojach ciągnącą do zamku z muzyką, chorągwiami, marszałkiem i starostą wesela, i trzeba przyznać, iż z wielką powagą i okazałością odprawiają te obrzędy.

Na zamku książęcem podejmuje książę wesele, błogosławi młodym, obdarza ich i przyjmuje zaproszenie w dniu oznaczonym od rodziców młodych. W dniu tym przyprowadzają drużby parę koni, cztery, sześć a nawet ośm, prowadząc je w rękę pojedynczo. Są to najkosztowniejsze konie, jakie się zdarzy widzieć na jarmarku lipskim. Te cugi zakupują oni i zaprzęgają do książęcego powozu, a prowadząc zaprzężone w rękę, asystują księciu do domu państwa młodych. (Konie te zostają od chwili, jak księcia wiozą, jego własnością).

Tu zasiada książęca rodzina wspólnie z naczelnikami do stołu. Tak samo podają się dzieci możnych kmieci do chrztu; a kiedy książę wydaje córę, lub wyprawia synów w podróż, dzieje się to także wobec ludu, który wyposaża księżniczki, i odnosi dla młodych książąt nadróżne w skrzyniach i skrzynkach kosztownych.

Jenerał opowiadał mi to wszystko, gdy po pod okna nasze przechodziło wesele i dodał: „Niema się czemu dziwić; jest to jedna z najstarszych rodzin w świecie, i dom saski nie ma nawet familijnego nazwiska, ale tylko nazwiska odmienia. Jest to coś po naszymu: pan Błński od Błonia, pan Kościelecki z Kościelca, a pan Altenburski z Altenburga“.

Przy tym Altenburgu przypominam sobie osobiwszą historję, którą mi opowiadał zacny nasz Tadeusz Bieleński, opowiadaną niegdyś przy wojskowem śniadaniu starszym oficerom naszym przez jenerała Dąbrowskiego.

Po lipskiej bitwie było wielkie strapienie i wielki pizus. Książę Józef zginął, cała francuzka i polska armia cofała się bez ładu. Zapasy żywności i magazyny odcieśli Sasi, którzy w tej bitwie do sprzymierzeńców przeszli, a nawet w sztabie jen. Dąbrowskiego nie było ani kawałka chleba ani czarki wódki, ani nawet garnca owsa dla koni. Gdy się sztab jenerała wstrzymał nieco po północy po przegranej bitwie, klęła wiara, a konie żarły ziemię z pod siebie. Zawołany intendent oświadczył, że nie ma nic do dania, i że nie ma nadziei nawet, aby mógł czegokolwiek dostarczyć przed upływem doby. Spojrzano po sobie i złe znaczyły się rzeczy. Wówczas to przystąpił do jen. Dąbrowskiego porucznik Bocianowski, oficer podobno z 13go pułku jazdy, który był w dniu tym do sztabu na służbę wysłany od pułku, i rzekł jenerałowi: „Jeżeli pan jenerał oddasz dwa szwadrony pod moją komendę, to wszystkiego dostarczę, czego dla sztabu i pułku mego potrzeba“.

Bocianowski ten był wielki zuch i znany ze swoich sztuczek junackich.

Jenerał Dąbrowski kazał mu tedy napisać rozkaz; a Bocianowski wzięwszy dwa szwadrony ruszył kłusem ku Altenburgowi. Znał bowiem tę okolicę dobrze i jej zamożność, stojąc uprzednio garnizonem w tem księstwie. Tu udał się wprost do zamku zostawiwszy w rezerwie szwadron jeden za skałą, a wszedł z drugim w dziedziniec zamkowy. Na spotkanie jego wybiegł cały dwór książęcy. Oświadczył marszałkowi dworu czego potrzebuje, wymieniając liczbę wołów i baranów, fur owsa i siana, wina i wódki, chleba i krup, kielbas i szynek, słowem podając na kartce cały wykaz potrzebnego furazu i prowiantów, i zasłaniając się rozkazem jen. Dąbrowskiego żądał tego wszystkiego natychmiast.

Wszakże gdy na meldunkach tych rzeczy przeszła godzina, a Bocianowski nie widział, aby folgę dawano żądaniu, lub jakiekolwiek dawano rozkazy celem dostarczenia prowiantów, udał się Bocianowski w dziesięciu ludzi z pałaszem na temblaku i odwiedzionym pistoletem w rękę na książęce pokoje, roztrącił kilku dworaków i dotarł tak ostro, że go w końcu tylko jedne drzwi szklanne przedzielały od gabinetu księcia. Wystraszony marszałek oświadczył, że do księcia wejść nie wolno, i w każdym razie musi uprzednio zameldować jego przybycie. Na to rzekł Bocianowski: „To proszę meldować“.

Marszałek odszedł, bawił długo, a wyszedłszy rzekł, że panujący książę Bocianowskiego przyjąć nie może i żadnych liwerunków nie da, bo jeszcze przed wypowiedzeniem wojny oświadczył się neutralnym, tak wobec cesarskiej armii, jak wobec armii sprzymierzonych, więc dziś z żadną stroną traktować nie może.

„Co! — krzyknął Bocianowski — neutralny? To powiedz twemu księciu, że ja mu na własną rękę wydaję wojnę“ — i pchnął marszałka do gabinetu księcia, a potem tak krzyżową sztuką przeżegnał drzwi szklanne, że się wszystkie do razu posypały szyby. Strzałem z pistoletu przez okno danym obudził czujność ułanów. W dziedzińcu powstała wrzawa i w zamku lękano się, żeby komendant nie dał do rabunku hasła.

Marszałek uprowadził księcia gdzieś przez tajne wyjście z gabinetu, ale w tej chwili był rozkaz dany, aby wszystkiego dostarczyć, czego Bocianowski zażądał.

Jakoż ściągnęły się ładowne wozy z prowiantami w jednej chwili, resztę wydano ze spiżarni i piwnicy księcia; woły, barany przypędzono pod zamek, i rezerwowi szwadron zabrał to wszystko pod straż swoją, a Bocianowski zjadłszy z kolegami jeszcze na zamku śniadanie, podpisał traktat pokoju z księciem Altenburskim, i wracał z całym nabytkiem do sztabu.

„Cóżże zrobił?“ — zapytał go jenerał Dąbrowski — Na to rzekł porucznik Bocianowski poważnie: „Książę Altenburski zasłaniał się neutralnością i nie chciał dać prowiantów. Otóż wydałem mu na własną rękę wojnę, a,

że książę armii nie miał, nie przyszło do wojny, ale zgodnym sposobem liwerunek ściągnąłem, śniadanie z kolegami zjadłem, a przy podpisie traktatu pokoju kazałem sobie od konia zapłacić kosztów wojennych po dwa napojony; i zawsze by tak było panie jenerale, gdyby porucznik Bocianowski komenderował dwoma szwadronami". Wypito tedy zdrowie Bocianowskiego winem, które przywiózł, a że to nie facecya, znalazła się przy likwidacji

(Zamówiony do tego artykułu drzeworyt, przedstawiający wejście Polaków do Lipska w r. 1831 podług oryginalnego rysunku porucznika Małankiewicza, opóźnił się nieco, i będziemy mogli podać go dopiero w następnym zeszycie.) Prz. Red.

kosztów wojennych bona porucznika Bocianowskiego, wydana księciu Altenburskiemu w formie traktatu pokoju, zawartego w dzień po lipskiej bitwie pomiędzy porucznikiem Bocianowskim z jednej, a ks. Altenburskim z drugiej strony, w której porucznik Bocianowski spisał powody i punkta zawartego pokoju. Akt ten wypadłoby zaciągnąć do narodowego archiwum tych, co od czasu do czasu na własną rękę wydają wojnę.

WINCENTY POL.

KRÓL LITOŚCIWY.

LEGENDA INDYJSKA PODŁUG MAHABHARATY.

W krainie pięknej Indów, w cudów kraju,
Król Uzinara siadł na złotym tronie,
Przy nim kapłani w świecącym kitaju
Palą ofiary bogom, piękne błonie
Jamuny ęmi się od ludu mnogiego,
Zbrojne w dziuryty sługi króla strzegą.

W tem od nadrzecznych palm gołąb nadleci,
Jak Himalai śniegi biały, lśniący,
I u stóp tronu padnie: z ocz mu świeci
Płomienna trwoga; padnie cały drżący
I głosem ludzkim zawoła: „Litości!
Królu, gołębia broń od wrażej złości!“

W tejże też chwili za gołębiem zbiegiem
Wzleci od boru wielki jastrząb płowy
I pokrzywszy nad straży szeregiem
Przed królem w wietrze uwiśnie, li głowy
Ruchem i skrzydeł lekkimi trzepoty
Trzymając w wadze ciężar ciała złoty.

Chwilę tak tylko ptak buja z daleka,
Wnet bowiem rzutem jednym do stóp króla
Pomknie, gdzie gołąb w dreszczu śmierci czeka;
Lecz król sędziwy gołębia otula
Ręką i rąbkiem słońcąc go talaru
Wstrzyma rabusia, jako pan obszaru.

Skinienie jedno ręki resztę powie;
Łupieżnik widzi, iż król ptaka broni,
Więc rzecze rozgniewany: „Któż królowi
Dał prawo brać mi łup powietrznej błoni?“
— „Gościnność — król odrzecz — zakon Boży,
Co chroni pisklę, gdy je zbójca trwoży.“

— Więc z głoduż ginąć mam wraz z gniazdem całym,
Iż ptactwa zjadacz, dziś chcesz im być tarczą?“
— „Mądrze ty mówisz — król rzecze — lecz szale

Rozumu uwieść nie dam się, wystarczają
Dla mnie zakonu słowa: Kto od wroga
Nie broni gościa, ten opuszcza Boga.“

Słyszac to jastrząb, dziwnie pokraśniej
I stanie cały w blasku, jakby z środka
Zeszło w nim słońce, co toń światła leje;
Wszyscy z podziwem nań patrzą, lecz wiotka
Mgła promienista wnet znów zwolna znika,
W ślipiach mu błysną znów skry rozbójnika.

„Oddaj rzecz cudzą — rzecze groźnym głosem,
Bo jastrząb lichy zmienię się w grom lotny
I twoim ludem potrzęsę jak kłosem,
Jak zwiędłym liściem trząść nim będę psotny.“
„— Bierz wszystko: stada, miedź, bierz złoto,
A duszę tylko ochroń przed sromotą.“

„— Oto jest waga — spokojniej ptak rzecze,
Połóż twe berło na niej, za gołębia
Daj berło, jeśli szale równe“ — „Miecze
Dodam te jeszcze“ — rzecze do jastrzębia
Król, gdy złocistą laskę ptaszę zważa;
Dwór i lud cały dziwo to przeraża.

Kładą sążniste miecze, ciężkie złotem,
Lecz ptak wciąż w dole: „Ha, więc mą koronę
Dorzucam“ — rzecze król, zlan zimnym potem.
Ptak jeszcze w dole — aż z czołem wzniesionem
W chmury, jak anioł, za lud w żar idący,
Sam król na szali stanie, niebem lśniący.

Wtedy się gromy jasne ozwią w górze
I dziwne światło całą błon obleje;
Ognisty wóz przed króla spłynie w chmurze
I jastrząb bogiem stanie, co wierzeje
Niebios otwiera, jako pan nad pany,
Nad gwiazd złotemi władający tumany.

Gołąb też cały stanie w blaskach nieba
Jako bóg ognia, co na próbę ludzi
Zstąpił tu z Indrą; wnet jasna koleba

Bierze świętego króla i lud budzi,
By ze snu, dziwnym, nadziemskim widokiem:
Król wraz z bogami niknie za obłokiem...

J. B.

BIALI I CZARNI.

POWIEŚĆ Z ŻYCIA LITEWSKIEGO.

SKREŚLIŁ JAN SYGMA.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Gintowt ujrawszy tyle trójek, zajeżdżających przed ganek, nie mógł wytłumaczyć sobie tego zjawiska, zwłaszcza iż było to w dniu powszednim. Nie dziwił się jednak bardzo ani też niepokoił, becзки bowiem z wiśniakiem i beczałką porteru każdej chwili gotowe były na przyjęcie gości. Nieraz już prowincjonalna arystokracja urzędowa przedsiębrała na Gintowta najazdy tego rodzaju. Nigdy się o to nie gniewał, gdyż był to człowiek z rachunkiem w głowie, który każdą rzecz umiał obrócić na korzyść własnej kieszeni. Ci co sądzili, iż go objadali darmo, i przepraszali za natrętność, byli w błędzie. Gintowt bowiem potrójnie kazał sobie płacić za jadło i napoje, a to w ten sposób, iż jako zręczny gracz w karty i szalbierz wszystkich niemiłosiernie ogrywał w sztosą, preferansą, bezika i inne gry, gdyż w każdej był mistrzem, w każdej kręcił i nigdy tego nie postrzegano. Wypróżniały się wprawdzie beczałki trunków, lecz napełniała się za to kieszeń Gintowta.

— Przyjechaliśmy na śledztwo — rzekł sprawnik, witając w przedpokoju uprzejmego gospodarza.

Gintowt się uśmiechnął.

— Jeżeli zawiniłem w czym — odrzekł — to jedyna pociecha mi pozostaje, że z tego powodu widzę w domu moim tak miłych i tak kochanych gości. Proszę panów, proszę — mówił uprzejmie, witając każdego.

Gintowt zawsze był uśmiechnięty; wyraz wesela i dobrego humoru, przynajmniej pozorny nigdy go nieopuszczał.

Była to figurka niska, a głowę miał nieproporcjonalnie wielką w stosunku do reszty ciała, tak dalece, iż przekonało się raz, że z trzydziestu zgromadzonych mężczyzn żadna czapka nie stósowała się do jego głowy. Miał jeszcze jedną charakterystyczną stronę w swoim organizmie: niewładał lewą ręką, którą miał uszłą od urodzenia. Soki żywotne potrzebne do władania ręką, opuszczając to siedlisko, stanowczo przeniosły się do olbrzymiej głowy i tam pracowały. Głowa ta nie tylko była wielką na zewnątrz, lecz

i wewnątrz odznaczała się niezwykle potęgą. Gintowt był rozumny; o rozumie jego, o niezwyklej bystrości nikt nie mógł wątpić, chodziło tylko o to, w jakim kierunku zużytkował ten dar. Gintowta umysł postępował systematycznie drogą praktycznej matematyki. Nie chodziło mu o nią jako o umiejętność *in abstracto*, lecz używał jej jako narzędzia do oszukiwania innych i wyzyskiwania obcej kieszeni na korzyść własnej w rozmaity sposób. Gospodarzem był wzorowym. Pracował też niesłuchanie; w zimie i w lecie nigdy później nie wstawał jak o piątej. W lecie o piątej znajdował się już na polu lub łąkach, w zimie zaś w gorzelni. O najdrobniejszym szczególe gospodarskim wiedział, pamiętał i zapisywał go do książki pod numer. Wszystko miał zapisane w rejestrach, które dopomagały dobrej i bez tego jego pamięci. W skutek pracowitości, kontroli i doskonałego we wszystkim rachunku majątek u niego ciągle prosperował; we wszystkich szczegółach sprawdzało się trafne przysłowie: „Oko pańskie konia tuczy.“

Gospodarka jednak acz kwitnąca nie stanowiła głównego źródła jego dochodów. Ciężkie czasy — mówił — chociażby człowiek dzień i noc pracował, niczego z ziemi nie wydobydzie, z powodu drogiego robotnika i innych nieprzyjaznych rolnictwu okoliczności, które z reformy włościańskiej wynikły. Tak mówił Gintowt. Miał jednak dochody z ziemi, ale te jeźliby kogo innego zadowolniły, jego w żaden sposób zadowolnić nie mogły. Ziemia przy najpomyślniejszych warunkach dawała pięć do sześciu procentów od łożonego weń kapitału. Przemysł mógł dać dziesięć do dwanaście i piętnaście od sta. Oprócz gospodarki więc chwycił się przemysłu. Rano pracował doglądając na polu lub zimą w gorzelni. Po południu pracował przy biurku nad rozmaitemi rachunkami i wyrachowaniami przemysłowymi, oraz pisał różne podania, prośby, zaskarżenia do policyi, gubernium a nawet do senatu petersburskiego. Był eksprezesem sądu powiatowego, znał prawo doskonałe, i z upodobaniem tej znajomości używał do pieniąctwa i procesów, które zawsze wygrywał, chociażby najdziksze

pretensje rościł do kogo. Wygrywał zaś z następujących powodów: najprzód znał lepiej od innych prawo, a potem był wytrwałym i pilnym, i zapisując każdą rzecz nigdy terminów prawnych nie chybił.

Dla braku instytucji adwokatów na Litwie, Gintowt cudów dokazywał w pieniactwie. Gdy przeciwnicy jego opieszale chodząc koło interesu nie pojmowali, jaki właściwie jest bieg jego prawny, to przeciwnie Gintowt troskliwy niesłychanie, jak doskonały gracz korzystał z najmniejszego błędu lub zapomnienia swego przeciwnika. Przytem znał charakter urzędów moskiewskich, wiedział gdzie trzeba pogrozić, gdzie prosić a gdzie zapłacić wypada. Żył też w wielkiej przyjaźni ze wszystkimi urzędnikami powiatu, którzy stanowczy wpływ wyrzucić mogli na bieg jego interesów, zapraszał ich do siebie, bawił, karmił i poił, a gdzie trzeba było, nie szczędził dobrych kubanów. Pomimo wielkiego zamięłowania do pieniactwa, pomimo to, że niejednego procesem swoim pozbawił środków do życia, umiał przecież utrzymać się przy powadze szlachetnego i prawego obywatela. W stosunkach sąsiedzkich, domowych i przyjacielskich, gdzie nie było interesu, uprzejmy, słodki, choć do rany go przyłożyć, w interesach zaś pieniężnych człowiek bez sumienia i bezwzględny. Nawet ci jednak, co ucierpieli w skutek jego zabiegów w pieniactwie, nie mogli go obwiniać, nie wiedząc, że Gintowt był ukrytym pajakiem, który nieznacznie na dłużników swoich i innego rodzaju przeciwników prawnych jak na muchy swoją sieć rozciągał! Szanowano i lubiono Gintowta, bo jakże nie miano szanować obywatela, który w chwili ogólnego braku kredytu chętnie każdemu nadstawał się z pożyczką. Pożornie jednak stawał się on tylko pośrednikiem we względzie kredytu. Gdy proszono o pożyczkę, odpowiadał: Darujesz pan, że w tej chwili nie mając gotówki, własnymi pieniędzmi służyć mu nie mogę; ale jeżeli koniecznie pan potrzebujesz, jeżeli nie dostawszy na razie pieniędzy, mógłbyś pan przez to stan swego majątku nadwerężyć, to cóż robić — ręka rękę myje, noga nogę wspiera — postaram się mu dopomóc. Mam tu — mówił — znajomego żydka, z którym mógłbym się w tym przedmiocie porozumieć. Człowiek to pieniądze, tylko wielki lichwiarz, nie wiem, czy pan zechcesz płacić po dwa procentu na miesiąc. — Cóż robić — mówił potrzebujący sąsiad — zgadzam się, bo pieniędzy nie mam, a tu naznaczono wielką kontrybucję; gdybym nie pożyczył i nie opłacił jej, gotowiby wszystko wysprzedać narażając mnie na większą stratę. A jeżeli tak — mówił Gintowt — to dobrze, proszę pana za kilka dni zgłosić się do mnie, to już pieniążki będą przygotowane. — Sąsiad poratowany dziękował serdecznie, nazywając Gintowta dobrodziejem swoim, wybawcą i kochanym panem prezydentem. Gintowt uśmiechał się. Ale — mówił dalej — żydek ten bardzo skąpy i ciężki do interesu. Chociaż jestem pewien, że pożyczę na moje zaręczenie, to z pewno-

ścią nie uczyni tego bez fundamentalnego zahipotekowania długu. — Możliwość oprzeć dług na ziemi — odpowiadał szlachcic. — Na ziemię nie przystanie, z tem długie ceregiele, ale może pan masz jaki inwentarz? — Jest trochę bydła. — A to doskonale; dług na bydelku się oprze, procencik pan zapłacisz; lecz trzeba być punktualnym i w terminie sumę uiścić. Bo pan znasz przecie żydów, wiesz, jak dalece zawzięci, gdy chodzi o ich interes. Nie uiścisz się pan, to gotów dług zaskarżyć, a potem proces, ceregiele, nieprzyjemności; lepiej tego uniknąć i zapłacić w terminie, radzę mu to po przyjacielsku. — W kilka dni szlachcic przyjeżdżał po pieniądze, które w istocie nie od żyda, lecz z własnej szkatuły Gintowta pochodziły. Żydek wszakże, faktor w tym celu przekupiony, oczekiwał przyszłego dłużnika. Grał rolę kapitalisty, wręczał pieniądze i miał przygotowany oblig. Gintowt z żydem i dłużnikiem jechał do urzędu dla zahipotekowania obligu, przyczem exprezydent podpisywał się w charakterze ręczyciela. Znając urzędników i mając z nimi rozmaite kontragencje, Gintowt wcześniej się zabezpieczał, aby żyd komedii tej nie obrócił na własną korzyść. W skutek takiego postępowania okoliczni obywatele pod niebiosa wynosili Gintowta, podziwiając jego bezinteresowność, z jaką się obcemi interesami zajmował. Jeżeli dłużnik w terminie nie opłacał, żyd z natchnienia Gintowta czynił zaskarżenie sądowe, on zaś wprawna dłonią kierując sprawą, wkrótce proces doprowadzał do egzekucji policyjnej, to jest, do faktycznego konfiskowania bydelka wierzyciela, na którym dług został oparty.

Żydek, zawsze rolę kredytora odgrywający, zabierał je za bezcen, i niby sprzedawał potem Gintowtowi do gorzelni, z kąd woły wykarmione nabierały większej wartości i sprzedawały się w dobrej cenie. Z tego rodzaju manipulacji, gdy przypomniemy, że dwa na miesiąc, czyli dwudziesty czwarty procent od razu bywał w obligu wpisywany jako część pożyczonej sumy, wypływał interes dla Gintowta bardzo dobry — korzystniejszy niż z gospodarki. Zysk tu był pewny, ogromny, czysty jak na dłoni.

Wspomniawszy o postępowaniu Gintowta w rzeczach finansowych, należy dodać jeszcze cośkolwiek i o innych cechach jego charakteru. Byłto niezmiernie pobożny i gorliwy katolik. Każdej niedzieli jeździł do miasteczka na mszę, przez całe nabożeństwo gorliwie modlił się z książki, nieraz długo klęczał, a w wielkim tygodniu krzyżem leżąc pokutował za grzechy. Gdy się modlił, wyrazy modlitw, różnych litanii, koronek i psalmów migały w jego oczach w postaci cyfr pełnych ponętnego dlań uroku; modląc się myślał o interesach. Niekiedy jednak w samej rzeczy z głębi piersi wydobywały się przeciągle westchnienia modlitwy, i wtedy chociaż był gorliwym katolikiem — stawał się podobnym do żyda, gdyż modlił się do Boga o zysk tylko. Liczne sprawy Gintowta, lub interesa jego pod pseudonimem żydków występujące, obarczały stoły urzędów

policyjnych i sądowych. W tych sprawach, w których żydowie udzielali swoich nazwisk do interesów Gintowta, stawiał on dla odróżnienia od obcych spraw mały krzyżyk z prawej strony każdego arkusza, jako umówione z urzędnikami hasło. Taki krzyżyk najczęściej stawał się symbolem śmierci dla fortuny jego dłużników. Interesa Gintowta z przyczyn, o których wspomnieliśmy już, załatwiano w urzędach z niezmierną gorliwością. Szybkie ich wykonywanie równało się niemal egzekucyi papierów rządowych. W mniejszych urzędach kubany były tego powodem, w wyższych także kubany i jeszcze coś. To coś było tajemnicą, za pośrednictwem której drzwi gabinetu gubernatora za lada dotknięciem ręki Gintowta posłusznie przed nim się uchylały. Z gubernatorem był on w bliskiej zażyłości; Gintowt miał młodą jeszcze i piękną żonę, gubernator był młodym wdowcem i przystojnym mężczyzną. Gubernator i Gintowtowa — Gintowtowa i gubernator — szeptano w okolicy, i na tle tej wersyi, jak powiada Mickiewicz, biegało domysłów tysiące, jako żabki po samotnej łące.

IX.

Gdy sprawnik, major od żandarmerji, pułkownik i inni urzędnicy z żonami swemi i córkami w liczbie kilkudziesięciu osób zjechali do Gintowta, rozpoczął się istny balik. Najprzód roznoszono herbatę z doskonałą śmietanką i sucharkami z cukrem i cynamonem inwencji pani Gintowtovej, z arakiem dla mężczyzn, oraz z cytryną. Grano w rubla, pierścionka, cenzurowanego, kota i myszkę. W grach tych, szczególnie ostatniej z wymienionych, zgromadzeni oficerowie znaleźli rozległe pole do popisów gimnastycznych i okazania moskiewskiego sprytu. Żydki muzykasy z niecierpliwością oczekiwani jeszcze nie przybyli z miasteczka, więc Jan grał zawzięcie, aż struny fortepiana pod uderzeniem męskiej jego dłoni boleśnie jęczały.

Naraz drzwi od przedpokoju się otworzyły, fortepian zamilkł, i usłyszano jako hasło do tańców formalnych powitalny marsz sebastopolski, który żydkiwie z wielką werwą wykonali. Lecz werwa nie stanowi jeszcze muzyki i nie jest wyłącznym warunkiem harmonii. Oprócz werwy w muzyce żydków było jeszcze coś, którego ogólnem rezultatem stało się wrażenie świdrujące uszy. Brak muzycznej harmonii nie przeszkadzał atoli do tańców. Skoczne pary wywijały się po salonie. Kilku mężczyzn angażowało do tańca panią Gintowtową, która pomimo tuszy swej znaną była jako zręczna i zwinna tancerka, bardzo lubiąca zabawę tego rodzaju zwłaszcza z mężczyznami, którzy jej w oko wpadali.

Każdemu z oficerów angażujących ją teraz odpowiadała: już tańczę — chociaż pary nie miała. Wzrok jej systematycznie zwracał się w stronę, gdzie siedział nie tańczący z nikim stroiciel. Rysy twarzy, imponująca postawa młodego bruneta, podobały się jej.

Zbliżyła się doń.

— Już tańczą, czegoż pan oczekujesz? Idźmy do Polki, pan mię zaangażował, panie Lambo.

— Przepraszam, pani się mylisz, jakkolwiek za zaszczyt uważałbym pozwolenie tańczenia z nią, dotąd jednak nie angażowałem jej wcale.

— A to mogę mu zrobić ten zaszczyt — rzekła uśmiechając się — tańczmy panie, no prędzej — rzekła — tu pnąwszy nóżką.

Stroiciel chociaż znużony bezsennie przepędzoną nocą i zawziętem graniem na fortepianie, nie mógł oprzeć się tak wyraźnemu żądaniu. Ujął kształtną kibić Gintowtovej i zaczęli wirować. Gintowtowa lekko tańczyła, piwne jej oczy pełne namiętnego wyrazu na wskrós go przeszływały. Płomienisty jej oddech palił go. Buchał z niej jakiś południowy ogień niby z krateru wulkanu. Tańczyli długo, Jan chciał zaprzestać, lecz ona szybkimi zwrotami nie dała mu czasu. Tak się prędko obracała, tańczyła z takim entuzjazmem, że wkrótce nie on nią, lecz ona nim w tańcu kierowała. Wirowali do zupełnego znużenia aż popadali na krzesła.

— Doskonale pan tańczysz panie Lambo.

— To raczej się pani tyczy — odrzekł.

— Z nikim takiej przyjemności w tańcu nie doznaję, jak z panem. Tańczyłabym z nim długo, długo bez końca. Czemu pan tak rzadko u nas bywasz? Wolno prosić, abyś częściej nawiedzał Czekinę, będziesz pan bardzo mile u nas widzianym; pan tak ładnie grasz na fortepianie, tyle wykształcenia i ogłady salonowej w nim dostrzegam.

— Zbytek łaski pani dobrodziejko. Z pozwolenia postaram się korzystać. Ja biedny stroiciel żyjący z pracy rąk, czyżbym się ważył bez wyraźnego żądania narzucać się z moją osobą państwu prezesostwu.

— O bądź pan pewnym jak najlepszego przyjęcia. Wykształcenie w każdym się ceni. Mój mąż tak gościnny, u nas tyle osób zwykle bywa, znajdziesz pan protekcję, co nawet i we względzie materyalnym dopomóżdź mu może.

Tańczono do czwartej zrana, poczem Jan znużony niezmiernie wraz z urzędnikami wrócił do miasteczka i przespał się do południa u traktyjnika, który z powodu znacznych dochodów, jakie ciągnął z niego, niezmiernie grzecznym był dla Jana.

Tegoż dnia po południu z Czekiny przyjechał bryczką parokonną posłaniec i oddał listek traktyjnikowi. Na kopercie było napisano: *A monsieur Jean Lambo*. Jan rozpieczętowałszy go znalazł następujące wyrazy: „Mój fortepian całkiem się rozstroił, zechciej pan przybyć dla wystrojenia. Oczekujemy go dzisiaj na herbatę. Życzliwa Ewelina Gintowt.”

Konie były przysłane, odmówić wezwaniu byłoby niegrzecznością. Jan pojechał. Gdy przybył, Ewelina uprzejmie go powitała; podała mu rękę, która długo z ręką Jana

rozstać się nie chciała. Spojrzenie czarnych oczu było przesywające. Zdawało się, iż Ewelina namiętnem spojrzeniem swoim usiłuje go pochłonać. Uląkł się tego palącego wzroku, który w innym czasie może byłby niezrobił na nim żadnego wrażenia. Teraz odgadł jego tajemnicze znaczenie, straszliwe wobec miłości ku Annie. Ewelina miała lat dwadzieścia i pięć; wzrostu była więcej niż średniego, postawy kształtnej, zaokrąglonej i ze stanowiska snycerskiego całkiem skończonej. Twarz jeszcze świeża nie miała już wprawdzie tego puszku lekkiego, w którego tajemniczy urok przyoblekają się lice niewinnego dziewczęcia, lecz była jeszcze piękna. Niebyły to wdzięki majowego poranku, wonią swą i świeżością orzeźwiającego, lecz piękność dojrziała skwarnego południa.

Oczy piwne wielkości średniej, kształtnie oprawione, mieściły się pod zaokrąglonem półkolem czarnych brwi, lekką przepaską łączących się ze sobą. Ale wyraz ich nie znamionował żadnej wyższej myśli, w przepaścistych głębiach tego wzroku mieściła się jakaś otchłań straszliwa — pożerająca. Patrząc w nie można było uczuć trwogę podobną do tej, jaką się uczuwa zaglądając do głębokiej studni.

Jan wystroił fortepian, usłyszał niemało grzeczności od Eweliny i wrócił. W dwa dni znowu odebrał podobne wezwanie. Gdy przybył, okazało się, że stan fortepiana całkiem zadowalniający nie nie pozostawiał do życzenia. Niemiał więc co robić. Pomimo to Ewelina przy pożegnaniu znowu wręczyła mu zwykle honorarjum. W rozmowie jej przebijała się jakaś niecierpliwość, z której jasno występowało niezadowolenie z braku domysłności, który u Jana dostrzegała. Jeszcze pół tygodnia nie minęło, gdy czwarty już z kolei listek Eweliny zaatakował stroiciela. Poczęło go to już trochę nudzić, lecz jeszcze raz pojechał. Przed bystrym wzrokiem Gintowta nie mogła ukryć się komedia ze strojeniem fortepiana, którą jego żona dosyć niezręcznie odgrywała. Przyczyną zaś tej niezręczności było właściwie to, iż mało dbała o swego męża. Stosunek ich był szczególnie w swoim rodzaju. Ewelina robiła, co się jej podobało, a gdy ją wyrzut ze strony męża spotykał, lekka pogróżka, jedno kiwnięcie paluszkami wystarczało, aby Gintowt zamilkł, nie ograniczając w niczem bezwzględnej swobody żony. Małżeństwo to nie miało potomstwa. Gintowt chociaż widział, że nie wypada jakoś, by żona jego zajmowała tak wyzywające stanowisko względem Jana, nie śmiał przecież powiedzieć tego, i wizyty jego najzupełniej tolerował.

Gdy po raz czwarty przybył Jan do Czekiny i wieczorem, odebrawszy zwykle acz niezasłużone honorarjum, chciał odjeżdżać —

— Pan dziś nie pojedziesz — rzekła Ewelina.

— Dlaczego?

— Bo już późno.

— Muszę.

— Nie z tego, nie dostaniesz pan dziś koni, a swoich nie posiadasz; czy chcesz więc czy niechcesz, musisz pozostać — dodała z uśmiechem.

Jan ujrzał się formalnie aresztowanym. Niepokoilo go coraz bardziej to palące, zwrócone ku niemu uczucie młodej mężatki, które objawiało się w formach namiętności nieznającej granic, niczem nie tamowanej. W innym czasie może byłby nie zdołał oprzeć się pokusie. Ewelina była piękną, porywającą; sama otwierała koralowe usta do pocałunku. W innym razie może; lecz teraz anielski obraz Anny, aureolą świętości w duszy jego promieniejący, miał w nim stałe i niedające się niczem zachwiać siedlisko. W skutek tego palący wzrok i nazbyt ożywiona rozmowa Eweliny, która najzupełniejszy kontrast z Anną stanowiła, nie mogły go zadowolnić. Czuł, że duszno mu w tej pięknej atmosferze. Wyrwał się z niej i dla odetchnienia po herbacie wyszedł do ogrodu. Był to piękny wieczór letni; księżyc w całej pełni osrebrał światłem swoim duży ogród spacerowy, urządzony na sposób angielski. Przeszedłszy kilka ulic, Jan minął długą aleję lipową i usiadł na ławce w altanie, znajdującej się przy końcu alei. Wychodząc z pokoiów nie dostrzegł, że Ewelina także wymknęła się za nim do ogrodu. Ewelina zaś całkiem zajęta Janem nie widziała, iż Gintowt o kilkadziesiąt kroków postępował za nią w celu szpiegowania. Jan wśród ciszy wieczornej usłyszał lekki szelest sukni niewieściej, zbliżającej się ku altanie, a po chwili ujrzał przed sobą Ewelinę, która i tutaj nie dała mu spokoju. Gintowt zaś w innym kierunku postępując zaszedł z przeciwnej strony altany i ukrył się pomiędzy krzakami w ten sposób, iż sam nie widziany, dokładnie mógł się przypatrywać temu, co się działo w altanie, promieniami księżyca jasno oświetlonej.

— Panie Lambo — rzekła po francuzku Ewelina — ach ja pana kocham! Nie czułeś pan tego dotąd; ja bardzo go kocham i nie wiem, co się ze mną dzieje.

— Pani masz męża — odrzekł Jan po polsku, nie ukrywając dłużej, kim był w istocie.

— Zkąd panu znana ta mowa?

— Jestem Polakiem; są powody dla których ukrywałem się dotąd.

— Czy tak? Ach mój drogi, to zwiększa jeszcze moją miłość ku tobie! — rzekła i usiadła przy nim na ławce.

— Pani! — zawołał Jan groźnie — a religia, a cnota, a zasady moralne, których kapłankami winny być polskie niewiasty? Czyż to wszystko nic u pani nie znaczy?

— O jakże biedną jest kobieta — odrzekła — jak słabą, gdy naraża się na tak ciężkie wyrzuty! Przebacz mi, panie — dodała — i przechyliła się ku niemu. W tej chwili ręce Eweliny gwałtownym ruchem opasały jego szyję, i Jan uczuł na twarzy swej wyciśnięty gorący, namiętny pocałunek. Usta Eweliny jak pijawki zespoliły się z jego ustami tak, iż z trudnością zdołał wyrwać się z tak natarczy-

wych objąć. Dłużej pozotać w altanie byłoby świętokradztwem względem Anny. Jan szybko powstał, odrzucił Ewelinę i chciał opuścić altanę, lecz w tej chwili ukazała się przed nim niziutka figurka Gintowta. Promienie księżyca oświectliły twarz jego szpetną uwydatniając usta — skrzywione sarkastycznym uśmiechem.

— Pocałunek był dość głośny — rzekł spokojnie — Cha, cha, całusik — dodał — brawo, brawo!

— Jeżeli będziesz wierzyć pogłoskom — rzekła Ewelina — to nigdy szczęścia w pożyciu naszym nie będzie.

— Pogłoskom! — powtórzył Gintowt, i zaśmiał się całą gębą.

— Tylko proszę cię mężu, bądź trochę delikatniejszym i pamiętaj o... bo... i pogroziła mu paluszką, poczem opuściwszy aleję udała się do pokojów całkiem spokojna i pewna siebie.

Mąż z Janem pozostali sam na sam; Gintowt w roli skrzywdzonego męża, któremu honoru swej żony bronić wypadło — Jan w roli mocno poszlakowanego uwodziciela; obadwaj potrzebowali rozmówić się z sobą otwarcie. — Byłeś pan świadkiem tej sceny? — spytał Jan.

— O byłem — odrzekł.

— Więc wiesz pan, kogo obwiniać należy. W każdym jednak razie gotów jestem służyć mu, chodzi tylko o wybór broni, miejsca i czasu; zostawiam to panu i najzupełniej zastosuję się do jego życzeń.

— Młoda krew — odrzekł Gintowt — widać, że pan w gorącej wodzie kąpany; zaraz broń, pojedynek, to śmiechu warte! Ja byłem prezydentem, ja obywatel stary, powszechnie szanowany, poważy, a pan kto?

— Ja jestem Jan Lambo, jako człowiek równy panu.

— Nie zamierzam zastanawiać się w tej chwili nad kwestyą zasad i różnicą społecznego położenia. Zresztą przeciw panu nic nie mam, i najniepotrzebniej proponowałem mi pojedynek. Żona moja — dodał cynicznie — z dziadów czy pradziadów jest włoskiego pochodzenia, i muszę przeto tolerować niektóre jej uchybienia. Całą scenę dokładnie

Zesz. VII.

widziałem i pana o nic nie obwiniam; w każdym razie jednak pragnąłbym, aby się coś podobnego nigdy więcej nie powtórzyło. Chcę więc rozmówić się z panem otwarcie, po przyjacielsku. — Dodać należy, iż Gintowt nie słyszał, że Jan rozmawiał z żoną jego po polsku.

— O czym pan chcesz mówić? — zapytał Jan zdziwiony.

— Chciałbym — rzekł — ażeby i wilk był syty i koza cała.

— A to w jaki sposób?

— Pan jesteś zakochany w pannie Olskiej, w jednej z najbogatszych i najpiękniejszych panien w naszej okolicy.

— Zkąd ta wiadomość, kto mówił o tem panu prezydentowi?

— Kto mówił, to mówił, dość że mi się zdaje, iż domysł ten nie jest bez podstawy; są rzeczy, które niekoniecznie

wyraźnego potrzebują wyznania, by stały się głośniami. Byłeś pan kilka razy w Widniskach, rozmawialiście dosyć czule z panną Anną, pogłoska o tem rozeszła się po okolicy; ja trzymam się tego, że w każdym żarcie jest połowa prawdy. Niechże mi pan szczerze wyzna, jak się ma rzecz w istocie?

— A jeżeli to prawda, do jakichże ona wniosków doprowadzi pana?

— Zaraz pan usłyszysz. Więc prawda?

— Niech i tak będzie.

— Otóż panna Olska bogata, pan nie masz nic; przy takim składzie rzeczy pan o ożenieniu się z nią marzyć nie możesz...

— Ja też i nie marzyłem.

— Ażeby osadzić ptaszka, trzeba mieć klatkę.

— Słyszałem już o tem nie raz.

— Więc po prostu powiem, że ja tę rzecz załatwię. O milę od Widniszek mam kawał ziemi, na którym mieści się drugi mój folwark, jest tam morgów z pięćdziesiąt ornego pola, jest laszek jaki taki, łączki nad rzeką. Miejscowość dobrze położona, dom mieszkalny nie całkiem zaniedbany. Ja tę ziemię przez czas niejaki odwynajmywałem drobnej szlachcie okolicznej (zaściankowej). Ale ta hołota nie nie płaci, nie miałem dochodów, więc wypędziłem.



Jan szybko powstał, odrzucił Ewelinę... (str. 227.).

Teraz podobno skarżą się na mnie w policyi, jak mi sprawnik mówił, ale mniejsza o tę hołotę; jeżeli pan chcesz, możesz być dzierżawcą tego folwarku — warunki będą dogodne. To panu da punkt oparcia, będziesz miał coś nakształt własnej siedziby, a wtenczas można i o ożenieniu pomyśleć. Będę pośrednikiem, będę nawet swatem i o rezultacie moich starań zostaniesz pan uwiadomiony. Teraz jedź pan do folwarku i zajmij się gospodarką; bądź pan zdrów — dodał — i proszę już nie przyjeżdżać tutaj dla strojenia fortepianów.

X.

W saloniku Olskich siedziała na kanapie Anna, a na przeciw niej na krześle siedział Gintowt i bił palcami po tabakierce. Uśmiechał się, Anna uśmiechała się także patrząc na niego, i w ten sposób rozmawiali z sobą. Milczenie trwało dobry kwadrans, nareszcie przerwała je córka Ewy, jako z natury płci swojej mniej skłonna do milczenia od brzydkiej rodzaju ludzkiego połowy.

— Anioł milczenia przeleciał — rzekła.

— Nie wspominaj pani o aniołach — odrzekł Gintowt — bo gotów jestem posądzić panią, że o sobie chcesz mówić.

— Pan prezydent zawsze dowcipny.

— E, nie zawsze, właśnie teraz brakuje mi konceptu. Chcę pani coś powiedzieć, a nie wiem, od czego zacząć, i to jest powodem naszego milczenia. Są rzeczy, przy których wypowiedzaniu nawet stary gaduła, taki jak ja, musi się zająknąć.

— Zaczynj pan od czegobądź, choćby od pogody, a potem mów pan o tej tak ważnej rzeczy, która już na seryo zaczyna mnie intrygować.

— A, otóż jest i koncept. Pani wiele czytasz, pani jesteś literatką. Zapewnie czytałaś pani Kochanowskiego lub innych pisarzy XVI wieku, i wiesz przeto, co oznacza wyraz dziewosłęb?

— Wiem — odrzekła.

— Otóż ja w tej chwili jestem dziewosłębem; przybywam prosić panią o rękę.

— Zgoda — odrzekła — jeżeli dla siebie, to — dodała śmiejąc się — możesz pan być pewnym przyjęcia propozycji.

— Nie dla siebie, lecz dla kogoś.

— Czemuż ten ktoś sam nie wypowie?

— O, bo proszę pani, nawet najodważniejsi stają się tchórzami na pobjowisku, gdzie walczą strzałami Kupidyna. Przyjechałem prosić o rękę dla Jana Lambo.

— Co? co pan mówisz? — odrzekła rumieniąc się — Cóż to za Lambo?

— Nieznasz go pani?

— Ten Francuz — stroiciel fortepianów, postać bardzo mało u nas znana. Ach panie prezydencie, godziż się tak żartować z biednej sieroty?

— O jakto te panienki — odrzekł Gintowt — doskonale umieją niewiadość udawać. Ale nie trwóż się pani; przybysz ten ma swoją siedzibę, jest już dzierżawcą, gospodarzem, mówię na seryo. Wyraz kocham, któryby może milej było od niego usłyszeć, niechaj moje niegodne usta w tej chwili za Jana wypowiedzą. On panią kocha i błaga, abyś była dozonną życia jego towarzyszką.

— Ależ to być nie może... tak nagle — szeptała zmieszana — nad tem trzeba się zastanowić. Zaczekam aż stryjostwo powróci; muszę się poradzić starszych osób; nie wiem co panu odpowiedzieć...

— Po co te ceremonje? Za stary lis jestem — mów pani otwarcie, krótko a stanowczo: Tak lub nie?

— Ha, więc zgoda! — szepnęła po jakimś czasie Anna zarumieniona cała, a dwie łezki jak dwie perełki spadły na stolik. Wydobyla chusteczkę, wstała i szybko pobiegła do swego pokoju. Zaczęła płakać, dziwne to łzy były, oczy płakały, a usta śmiały się. Dwa sprzeczne uczucia złączyły się z sobą; płakała — czemu? nie wiedziała. Nie były to łzy smutku — lecz wesela; spotęgowały one jeszcze bardziej to uczucie tak rzadko w życiu napotykane, jakim jest uczucie zupełnej niczem niezasepionej radości.

XI.

Wkrótce rozeszła się po okolicy wiadomość o tem, iż dano już na zapowiedzi, że za tydzień w kościele parafialnym powiatowego miasteczka odbędzie się ślub Francuza Jana Lambo z panną Anną Olską. Wiadomość ta z różnemi dodatkami jak fale rzeki jedna drugą popychały i szły coraz dalej, aż odbiły się o dwa brzegi. Jednym brzegiem była Ewelina, drugim Hryhorjew — oboje zostali wiadomością tą jak piorunem rażeni. Hryhorjew dlatego, iż musiał się rozstać z myślą o Annie, Ewelina dlatego, iż o Janie, którego namiętną ukochała miłością, nie zaspokoiwszy pragnień swojego serca, nazawsze zapomnieć musiała. W obojgu uczucie miłości zamieniło się w zazdrość, nienawiść i wściekłość uczucie zemsty. Hryhorjew chociaż Moskal i zacięty wróg katolicyzmu, przecież jako urzędnik policyi zaglądał do kościoła parafialnego, aby się przypatrzeć, co tam robią i czy kobiety nie są w żałobie. Gdy w tydzień po trzeciej zapowiedzi będąc w powiatowym miasteczku wszedł do kościoła, oczom jego przedstawił się następujący widok: Przed ołtarzem stał ksiądz i łączył rękę Anny z ręką Jana. Ewelina stała z lewej strony przy ławkach i patrzyła na to. Jakie uczucie nią miotало, trudno byłoby opisać, zresztą wyraz twarzy jasno to uwydatniał. Bledszą była niż zwykle; oczy pały straszliwym blaskiem; wyrażało się w nich coś nakształt chwilowego obłąkania. Rumieniec zamienił się w jakąś ciemno-brunatną plamę, wargi drgały konwulsyjnie. Przystojna zwykle kobieta zamieniła się w wiedźmę straszliwą. Gdyby jej myśli mogły wejść w wykonanie, płomień pożaru niezawodnie roznieciłaby przy ołtarzu,

i w tym ogniu z uśmiechem radości, jaką spełniona zemsta czarnym duszom udziela, spaliłaby Jana i Annę razem. Lecz były to tylko myśli i chęci, których spełnić nie mogła.

Uczucie zemsty, objawiające się w Hryhorjewie, miało kierunek nierównie praktyczniejszy. Widząc szczęśliwą parę nowożeńców myślał nad sposobami zniszczenia tego szczęścia, na które nie mógł patrzeć obojętnie. Po dopełnionej ceremonii ślubu Hryhorjew wychodząc z kościoła napotkał Gintowtowę.

— Moje uszanowanie pani prezydentowej — rzekł.

— Jak się ma Aleksander Pietrowicz?

— Czy panna Olska — zapytał — zmysły postradala, aby uczynić coś podobnego? Jakiś Francuz — przybłęda...

— Co za Francuz? On Polak.

— Co pani mówisz?

— To pan niewiesz o tem?

W tej chwili błysła jej myśl zemsty.

— Polak — mówiła dalej — ukrywa się pod obcym nazwiskiem, sam mi to zeznał. Mówił ze mną po polsku, to osobistość podejrzana, niech go pan niezwłocznie aresztuje — dodała, i jakaś straszna radość zapaliła się na jej twarzy.

Hryhorjew wszakże nie mógł aresztować osobistości, posiadającej bilet przez niego wydany. Głupstwo zrobiłem — pomyślał — to Polak, Polaczek, pewno powstaniec jakiś, kakoj miateżnik — jak potrafił mię otumanić. Lecz to nie on oszukał, jabym go aresztował, gdyby nie ta przekłeta uwodzicielka. O piekielne plemię Polaków — popamiętają mię teraz!

Powróciwszy do stanowej kwatery zajął się z nową gorliwością obowiązkami służby. Począł szczegółowo przeglądać wszystkie cyrkularze i rozporządzenia rządowe. Chodziło mu o wynalezienie zręcznego sposobu, aby ponownie przyczepić się do Jana, i znaleźć pozór do aresztowania go.

(Dok. nast.)

WSPOMNIENIE

o św. pam.

STANISŁAWIE JASZOWSKIM.

Po raz wtóry oddaliśmy temi dniami ostatnią posługę prochom męża, którego pamięć aczkolwiek nieco zatarta, przy dokładnem jednak ocenieniu dążności i prac jego, powinna nam być zawsze szacowną. Dzisiejszy postęp i dążności zakłóciły i tym prochom wieczny odpoczynek, gdyż złożone na cmentarzu, Paparówką zwanym, w tej części, która pod dworzec kolei brodzkiej zajęta została, nie mogły one jak i zwłoki wielu innych zmarłych ostać się na miejscu. Przykry zaiste widok przedstawia dziś ten cmentarz, gdzie pootwierane groby i porozrzucane kości i deski zbutwiałych trumien, tem większym przejmują żalem, że są to po największej części zwłoki ludzi ubogich, o których poszanowanie i przyzwoite przeniesienie nie było się nawet komu upomnąć. Nieszczęśliwym za życia niedano nawet po śmierci używać tego spokoju, na które cierpieniem swem zasłużyli. Smutny to zaprawdę postęp naszego wieku!

Temu losowi uległy także zwłoki męża, którego imię jako wielce zasłużonego w swoim czasie pisarza naszego radziłyśmy odświeżyć przy tej sposobności w pamięci naszych czytelników.

Był nim Stanisław Lubicz Jaszowski, urodzony w Czyszkach (w Sambor.) w r. 1803, a zmarły we Lwowie d. 13. Lutego 1842 w 39 roku życia swego. Pochodząc z rodziny szlacheckiej i ukończywszy szkoły filozoficzne, już w 17. roku zaczął on pracować około podniesienia oświaty i literatury w kraju, spoczywającej podówczas w letargu, a oddawał się tej pracy pomimo licznych przeszkód i trudności z nie-

zmordowaną gorliwością i nieprzełamaną chęcią, próbując chlubnie sił swoich i zdolności w najrozmaitszych kierunkach. Dość powiedzieć, że był poetą, historykiem, dramaturgiem, powieściopisarzem, krytykiem i fejetonistą, a chociaż biorąc miarę podług skali dzisiejszej nie był to talent pierwszorzędnym, miały przecież prace jego w swoim czasie niemałą wartość i zasługę. W młodzieńczym jeszcze wieku umieszczał w redagowanym podówczas przez Chłędowskiego czasopiśmie „Pamiętniku lwowskim“ początkowe swe próby poetyckie. Pierwsze te chwile swego literackiego zawodu, oraz wspomnienia lat szkolnych, opowiedział on z całą szczerością młodzieńczego wieku w wydaniem przez siebie o dwadzieścia lat później piśmie zbiorowym „Dniestrzance“ pod tyt.: „Zabawy literackie.“ Poezye te okazują dostatecznie, jak wcześniej uczuł on w sobie powołanie do zawodu literackiego, i z jakim zamiłowaniem młodzież ówczesna garnęła się do literatury.

Od r. 1822 aż do ostatnich chwil pracował Jaszowski przy redakcyi Gazety Lwowskiej w wydziale literackim i politycznym, gdzie w wychodzącym przy tej gazecie dodatkowym czasopiśmie: „Rozmaitościach“ umieszczał rozmaite utwory historyczne, powieści, opisy miejscowości, biografie i inne urywkowe prace, podtrzymując niemi to przez długi czas jedyne i z wielką ciekawością czytowane czasopismo we Lwowie. Oprócz tego był on współpracownikiem wielu innych pism, redagowanych tak w kraju jak i za granicą, umieszczając w nich poezje swoje i artykuły naukowe, jak w „Pszczółce krakowskiej“, „Wandzie“ Dmochowskiego

„Pamiętniku Warszawskim“, „Pamiętniku“, „Bibliotece Ossolińskich“, „Lwowianinie“ i innych. Także i Adamowi Kasperowskiemu pomagał on w redagowaniu „Tygodnika rolniczo-przemysłowego.“

Jako miłośnik dziejów ojczystych, celował gruntownym znawstwem historii przeszłej i historii literatury naszego wieku. To też pisane przez niego powieści i inne historyczne utwory osnowane są wszystkie na prawdziwych zdarzeniach i legendach króńkarskich lub ludowych. Płody rozmaite tego rodzaju, umieszczane w czasopismach, zostały też po części i osobno przez niego wydane; jakoto: Zabawki rymotwórcze, trzy tomiki u P. Pillera roku 1826. Powieści historyczne polskie trzy tomiki u Schnajdera r. 1829. — Bitwa pod Stubnem powieść historyczna z wieku XVI dwa tomiki r. 1831. — Mulatka powieść wierszem 1833. Pozostały zaś po nim w rękopiśmie: Marja z Paleologów, czyli Poseł polski w Stambule, powieść historyczna z pierwszej połowy upływnego wieku. Jadwiga ze Lwowa, powiastka na tle historycznym osnuta. — Lwów i jego okolice, poema w rodzaju okolic Krakowa przez Wężyka. — Wspomnienia o Lwowianach z nauk lub umnictwa znanych, ułożone porządkiem abecadłowym aż do końca wieku XVIII. Wiele z utworów jego przetłumaczyli Wacław Dunder i inni na czeskie, umieszczając je w czasopiśmie Czechosław z lat 1830, 1831, a mianowicie powiastki i życiorysy: „Oświecimowie“ — „Jaksa z Miechowa“ — „Wąs Kotlarczyk“ — „Leona Potocka“ — „Pan Siemasz“ i inne. Nakoniec wydawał on także pisma zbiorowe: „Sławianina“ i „Dniestrzanek“, w których koncentrowały się wszystkie ówczesne siły literackie Galicyi, i w których znaleźć można niejedną utwór Jaszowskiego, jak „Pan Siemasz“, „Susceptant paryski“, „Uczta Kasztelana“ (wierszem) i t. p., przedstawiające obrazy zeszłego wieku z prawdą i życiem i nie bez świeżości kolorytu.

Oprócz powieści dostarczył on scenie lwowskiej kilkanaście sztuk przełożonych z Kocebugo, Klingmana, Mullnera i t. d., i napisał kilka pomniejszych sztuk oryginalnych. Pierwszy Jaszowski odważył się na napisanie historii dramatu polskiego, którąto pracę, aczkolwiek dość niedokładną, umieszczono w czasopiśmie Bibl. Oss. z r. 1830 t. II. Rozpoczęty zaś przez niego dramat: „Rusinowska“ ukończył później z tematu pozostawionego w rękopiśmie p. Aleksander Ładnowski.

Jeżeli pisma Jaszowskiego nie celują nadzwyczajnym talentem, przebijają się w nich przecież wszędzie wielkie za-

miłowanie rzeczy ojczystych, zdrowe pojęcie literatury i jej celów, a nade wszystko szczerą chęć przyłożenia się wedle sił i możliwości do osiągnięcia tych celów; sąd jego przytem zawsze był nieuprzedzony, trzeźwy i wolny od tak modnej dziś niestety zarozumiałości u młodych literatów. Na wszelki sposób ma Jaszowski co najmniej tę zasługę, że dołożył niejedną zdrową cegielkę do fundamentów, na których wznosi się dzisiejszy gmach literatury naszej w Galicyi. Wszyscy wreszcie, którzy tylko znali Jaszowskiego w pożyciu domowym, żałują w nim zawczasie zgasłego męża łagodnego charakteru, uprzejmego obejścia i niezmordowanej pracowitości, której acz niezbyt obfite — jak zwykle prac literackich — owoce, z ojcem i rodziną podzielał.

Zostawił on po sobie małżonkę, Wiktorję z Łągórskich, zaślubioną z nim w r. 1831, która zmarła w rok po jego zgonie spoczywała z nim dotąd na Paparówce w jednym grobie, tudzież córkę Wandę. Prochy obojga małżonków zostały złożone teraz w jednej trumnie i przeniesione dnia 22. maja na cmentarz Łyczakowski, za staraniem kilku przyjaciół i przy dość licznym udziale ludności, zakonników i bractw kościółów lwowskich. Kilku szanownych literatów i weteranów z r. 1831 odprowadzało zwłoki zanego niegdyś towarzysza pióra i broni. Z żalem jednak zapisać nam przychodzi, że młodzież nasza, osobiście akademicka, wcale nie była zastąpiona przy tym obchodzie żałobnym, chociaż właśnie ona powinna by najlepiej wiedzieć z wykładów profesora Małeckiego, czem był Jaszowski dla literatury polskiej w Galicyi. Nie wiemy, ile w tem prawdy, ale komuś ganiącemu tę obojętność miał odpowiedzieć jeden z akademików, że potrzeba było podać pisemną odezwę do prezesa „Stowarzyszenia bratniej pomocy“, a ten byłby okólnikiem wezwał członków do udziału w uroczystości. A więc niestety doszłoby już do tego dzisiaj, że potrzeba aż niemieckich praktyk w formie petycji i cyrkularzów, ażeby skłonić młodzież naszą do oddania czci zasłudze? Nie chcemy nawet wierzyć temu, i wolimy przypuszczać raczej, że byłoby tylko nieroztropny wybieg zagadniętego, który chciał winę własną usprawiedliwić tłumaczeniem, ubliżającym całej młodzieży akademickiej.

W końcu nadmienić nam jeszcze wypada, że w czasie przenoszenia zwłok Jaszowskiego rozdawano następujący wiersz, napisany na uczczenie jego pamięci przez jednego z literatów tutejszych:

Był czas, że wróg nam pięczęć kładł na usta,
U ognisk naszych stawał na podsłuchy,
By rozciągany na łożu Prokrusta
Nawet jęk z piersi nie wydarł się głuchy.

Był czas, że jedno niecierpliwe słowo,
Jedno gorętsze uderzenie serca,
Wiodło nas w więzy i pod kaźń surową,
Gdzie płwał nam w oczy najemny szyderca...

Kto wtedy wytrwał u Ducha na służbie,
Kto apostołstwa niezłakłszy się trudu
Pozostał wiernym narodowej wróżbie: —
Temu się słusznie należy cześć ludu.

Ty ją zyskałeś, druhu nasz i bracie,
Boś cały żywot wytrwał przy sztandarze
Jak szermierz boży w jasnej ducha szacie,
I ustąpiłeś aż Bóg zmienił strażę...

Toż i dziś jeszcze, kiedy grób Twój ryje
Świat chciwy zysku: nam Twe prochy — święte!
I pamięć Twoja ciągle wśród nas żyje —
Bo nie umiera — co z Ducha poczęte!

Lwów, 26. Maja 1868.

ANTONI SZNAJDER.

K R O N I K A.

Z kraju.

(Od redakcyi.) Rycina przedstawiająca „Zgon Miecysława Romanowskiego“ utworu p. Fr. Tepy, którą wydawnictwo „STRZECZY“ przeznaczyło na fundacyę ś. p. Karola Szajnochy, jest już w handlu księgarskim po cenie 40 centów do nabycia. Spodziewać się wypada, że tak miła pamiątka, a do tego przeznaczona na cel tak szlachetny, nie zmarnieje dla braku udziału.

(Towarzystwo narodowo-demokratyczne). W najnowszym czasie zawiązane zostało we Lwowie towarzystwo, którego zadaniem ma być: radzić i działać w usługach idei demokratycznej, i ztąd przybrało ono nazwę towarzystwa narodowo-demokratycznego. Jakkolwiek nie podzielamy przekonania, by tworzenie takich kółek, wiodących ostatecznie tylko do rozdzielenia obozu narodowego, miało być koniecznym wskazaniem dzisiaj, nie chcemy przecież — za przykładem innych — podsuwać założycielom zamiarów lekkomyślnych, i przyjmujemy fakt dokonany w dobrej wierze do wiadomości. Ależ natomiast nie możemy żadną miarą zgodzić się na sposób, w jaki go przeprowadzono. O ile nam wiadomo bowiem, weszło na listę członków wiele osób całkiem niespodzianie, gdyż dowiedziały się o tem dopiero w przededniu walnego zgromadzenia; względem kilku innych członków zachodzi jeszcze widoczna wątpliwość, czy osiągnęli już potrzebną do samoistnego działania pełnoletność; a kilku wreszcie widzieliśmy nawet takich, którzy nie zajmują w społeczeństwie niezawisłego stanowiska, a tem samem i działać niezawisłe nie mogą. Cała więc operacja utworzenia tego towarzystwa zdaje się być nadzwyczajnie dorywczą i przypadkową, a to nie daje wcale rękojmi ani powagi ani trwałości temu dziełu. Zresztą nie możemy jak tylko przyznać w zupełności słuszność zdaniu p. Smolki, wyrzeczonemu na walnym zgromadzeniu, że w takim towarzystwie zasiadać powinni tylko ludzie nieposzlakowanego w żadnym względzie charakteru.

(Pomnik dla ś. p. Stanisława Pilata). Uczniowie ś. p. Dr. Stanisława Pilata, męża zasłużonego w piśmiennictwie naszym, który niegdyś utrzymywał najliczniejszy we Lwowie pensjonat męzki, powzięli zeszłego roku myśl wystawienia zmarłemu pomnika dla uczczenia jego pamięci, i wydania oraz pozostalego po nim rękopisu „o Stylistyce.“ Potrzebny fundusz

na to zebrali też między sobą i polecili znakomitemu rzeźbiarzowi naszemu, p. Filippiemu, wypracowanie pomnika, który na dniu 7. maja r. b. w wilię imienin ś. p. Stanisława, po odprawieniu żałobnego nabożeństwa, wmurowany został w ścianę w kościele OO. Bernadynów we Lwowie. Wspomniony rękopis, przejrany przez prof. Dr. A. Małeckiego, został już podany do druku. Rzadki to dziś zaprawdę przykład wdzięczności i poszanowania uczniów dla swojego nauczyciela!

(Sprawa rozpisanej przez dyrekcję naszej sceny konkursu dramatycznego) nie została dotąd jeszcze rozstrzygniętą. Wysłany do ocenienia nadesłanych utworów komitet ściślejszy orzekł wprawdzie jednogłośnie, że pomiędzy sztukami konkursowymi nie ma żadnej takiej, któraby bezwarunkowo godną była nagrody; ale wzięwszy na uwagę, że konkursów nie rozpisuje się dla jeniuszów, i że celem niniejszego konkursu jest tylko uwiecznienie utworu stosunkowo najlepszego pomiędzy ubiegającymi się — wybrał tenże komitet dwa z dzieł jego najlepsze dramata, i przedłożył pełnej komisji dla powzięcia ostatecznej decyzji. Obecnie więc zajmuje się pełna komisja czytaniem tych dramatów in gremio, i dopiero po ukończeniu tej czynności zapadnie stanowcza uchwała. Wobec tych faktów, znanych tylko członkom komisji, dziwić się zaprawdę potrzeba, z kąd mogła „Kalina“ przed miesiącem jeszcze zaczerpnąć o działaniu ściślejszego komitetu wiadomości tak szczegółowych, że nie wahała się wymienić nie tylko tytuły sztuk niby wybranych do nagrody, ale nawet nazwiska ich autorów, które nawet dla komisji są jeszcze tajemnicą? Z tej przyczyny nie można też skonstatować jeszcze, jak dalece tem doniesieniem dopuściła się „Kalina“ naruszenia tajemnicy, ale to pewna, że popełniła niedyskrecję, za którą tylko na nią samą spada cała odpowiedzialność.

(Pedagogia polska). Jeżeli który dział umiejętności, to niezawodnie pedagogiczny był dotąd u nas najmniej obrabiany. Zmuszeni przez długie lata poprzestawać na systemie naukowym, który nam obca mądrość narzucała, nie mieliśmy ani sposobności ani potrzeby do wyrobienia sobie własnej, odpowiedniej warunkom życia narodowego umiejętności wychowania, zwłaszcza publicznego, i jak we wszystkim tak i w tym względzie wtłaczano ducha naszego w formy obce i wstrętne dlań najzupełniej. Dopiero teraz, gdy z nadaniem konstytucyi otrzymał kraj

przynależny sobie głos w sprawie wychowania, rzucono się skrzętnie do pracy na polu pedagogicznym, i jednym z pierwszych owoców tej pracy jest: „Pedagogia polska w zarysie,” skreślona przez dr. filozofii Wład. Seredyńskiego, a wydana we Lwowie nakładem Karola Wilda. Ocenienie naukowej wartości tego dzieła nie wchodzi w zakres naszego pisma; wszakże co się tyczy wrażenia ogólnego, jakie przeczytanie jego sprawia na czytelniku, zapewnić możemy, że jest ono w wysokim stopniu zarówno przyjemne jak i korzystne. Autor obrobił całą rzecz bardzo sumiennie i umiejętnie, a przytem zaleca się dzieło jego stylem tak pięknym, a oraz tak jasnym i zrozumiałym, że nawet czytelnik mniej wykształcony może się niem zająć i niem mało z niego skorzystać. Takich pracowników daj nam Boże jak najwięcej!

(Towarzystwo przyjaciół śpiewu), istniejące dopiero od trzech miesięcy, rozwija czynność swoją z coraz większym pożytkiem dla ogółu, zalecając się nie próżnemi wrzaski, lecz pracą uczciwą i szczerą. Dotąd brało już udział — i to wcale chlubny — w kilku aktach publicznych, jako to: w wieczorku muzycznym kasyna mieszczańskiego, w uroczystości pogrzebowej na cześć ś. p. Stan. Jaszowskiego, i nakoniec w koncercie dawanym w sali ratuszowej na rzecz „Stowarzyszenia czeladzi rzemieślniczej” pod nazwą „Gwiazda.” Teraz zaś urośnie z jego działalności jeszcze realniejszy pożytek dla kraju, gdyż połączwszy się ze szkołą muzyczną p. Karola Kozłowskiego otworzyło ono z dniem 1. czerwca szkołę śpiewu, a mianowicie śpiewu solowego pod kierownictwem znakomitego naszego artysty-spiewaka pana Walerego Wysockiego, i śpiewu chórowego pod kierownictwem pana Leedera. Takiej pracy można życzyć z całego serca: „Szczęść Boże”.

(Szanowny nasz wieszcz Wincenty Pol) odzyskał utracony od kilku lat wzrok dzięki szczęśliwej operacji znakomitego okulisty krakowskiego dr. Rydla. Jestto wiadomość tak radosna dla każdego miłośnika literatury ojczystej, że niepodobna nam powstrzymać się od udzielenia jej szanownym czytelnikom naszego pisma.

(Jan Królikowski). Z Warszawy donoszą nam, że ten znakomity artysta dramatyczny, i ulubieniec publiczności warsz. ma zamiar opuścić teatr warszawski. Dla uczczenia jego zasług w sztuce dramatycznej, i w dowód uwielbienia jego genialnego talentu, zaprojektowano złożyć mu w darze fotografię olbrzymich rozmiarów, w której będą zamieszczeni artyści, literaci i pewna część zwolenników i wielbicieli talentu tego artysty. Cyfra tychże będzie zapewne bardzo znaczną. Fotografia ta ma być wykonaną w zakładzie Brandta, który już nie jedno w podobnym rodzaju wykonał artystycznie.

Ze świata.

(Księżniczka z trupią głową). Niejeden z czytelników przypomni sobie zapewne, że po r. 1830 bląkała się przez długi czas po dziennikach tajemnicza wieść o jakiejś księżniczce z trupią głową. Potem stracono ślad jej, i zdawało się, że ta nieszczęśliwa istota, której nikt własnymi nie widział oczyma — chociaż miano ją spotykać w różnych miejscach, dawno już w grobie spoczywa; — ale dzienniki nie

dają jej spokoju, i w najnowszym czasie wyprowadzono ją znowu na jaw niespodzianie.

Będzie temu lat przeszło dwadzieścia, gdy tę księżniczkę miano widzieć w Berlinie i w Wiedniu. Pisano wtedy o niej z największą dokładnością; opowiadano o jej odwiedzinach u lekarzy, o usiłowaniach najslawniejszych operatorów, ażeby doprowadzić tej nieszczęśliwej, która podług podania mogła być nadzwyczajną piękną, gdyby nie owa nieszczęsna twarz — trupiej głowy. Ale chociaż ofiarowała za to niesłychane sumy, nie mogła przecież (tak niosła wieść powszechna) zaradzić temu sztuka lekarska, i nieboga musiała przeto bląkać się ciągle z twarzą tą po świecie.

W końcu powzięła zamiar wyszukać męża, któryby chciał ją zaślubić, i udała się w tym celu do Paryża, rozumie się przed dwudziestu laty jeszcze. Tu w czasie karnawału rozeszła się szybko wieść, że jakaś młoda Angielka, niezmiernie bogata, bywa co tygodnia na wielkim balu maskowym w Operze dla wyszukania sobie męża; wprowadzić było to miejsce niekoniecznie stosowne do tego, ale to nie należy już do rzeczy.

Zresztą skutek okazał, że wyprawa ta nie była daremną. Wszyscy kandydaci do małżeństwa spieszyli tam na oględy. Widziano ją, i pomimo larwy sądzono, że jest bardzo piękna. Głos jej był dźwięczny i miły, nóżka zgrabna i mała, ręce śnieżnej białości, wzrost smukły, cała postać ujmująca, a włos jej złocisty obudzał zazdrość we wszystkich kobietach.

Jakiś gagatek, syn zamożnych rodziców, który przetrwoniał cały swój majątek, pokusił się o jej rękę.

„Ja kocham cię, pani, i ożenię się z tobą” — rzekł do niej.

„Niewidziawszy mnie?” — spytała.

„Nawet z zawiązanymi oczyma!”

„Chcesz pan mnie zaślubić taką, jaką jestem, z maską na twarzy?”

„Bez wahania!”

Na drugi dzień odjechali oboje do Anglii, gdzie odbyło się wesele. Gdy niewidziano ich potem przez długi czas, rozeszła się pogłoska, że Angielka ta (ta sama, którą miano widzieć w Niemczech), jest bardzo miłą osobą, ale ma trupią głowę, gdyż matka jej w czasie słabości przestraszyła się widokiem szkieletu.

Mimo to przybyła młoda para znowu do Paryża, chociaż nikt nie domyślał się, że młoda kobieta jest tą samą Angielką. Jedno tylko było zadziwiającem u niej, mianowicie ubranie głowy. W towarzystwie nie pokazywała się inaczej, tylko z szeroką przepaską, wysadzoną dyamentami, na czole, a w domu nosiła rodzaj czepka, którego wstążki i szlarki osłaniały czoło aż do brwi. W końcu jednak zdradziła tajemnicę pokojówka, jak to niestety zbyt często zdarza się na świecie. Młoda ta i w istocie bardzo piękna zresztą kobieta miała na czole znamie, bardzo podobne do malej trupiej główki, i ztąd powstała owa nieszczęsna pogłoska, która z malej plamki zrobiła całą trupią głowę.

Ale nikt nie przypuszczał, że jestto ta sama dama, którą niegdyś nazywano księżniczką z trupią głową. I mało kto zapewne domyślał się tego przed miesiącem, gdy dama ta poważna i powszechnie lubiona, zakończyła życie w Anglii. Tak

więc faktycznie nie istnieje już od miesiąca księżniczka z trupią głową; ale któż wie, czy kiedyś nieruszy jej znowu z grobu gadatliwość dziennikarska.

(Osobliwsza spuścizna). W Paryżu umarł niedawno oryginał rzadkiego kalibru. Był to ubogi, nędzny starowina, który mieszkał na poddaszu w najskromniejszej dzielnicy miasta, chodził zawsze w lachmanach i opuszczał zimne pomieszkowanie swoje tylko raz na dzień, ażeby za kilka groszy nakuścić sobie żywności.

Pewnego dnia nie widziano go, nazajutrz nie pokazał się także, a na trzeci dzień wyłamawszy drzwi do jego izdebki znaleziono go martwym na sienniku. Starzec nie pozostawił żadnej gotówki, i musiano pochować go kosztem miasta. Sprzętów w izbie nie było żadnych, prócz nędznego barłoga, połamanego stołu i krzesła bez nogi. Ale za to w wielkiej szafie ściennej odkryto rzecz osobliwszą. Na długich deskach ujrano tu całe szeregi starych korków; przy każdym z nich znajdowała się kartka przypięta szpilką. W pośrodku zaś tego szerególnego zbioru leżał papier, na którym znajdowały się następujące słowa, wypisane własną ręką nieboszczyka:

„Moja ostatnia wola. Moja jedyna spuścizna.

„Byłem niegdyś bogaczem, wielkim bogaczem. Żyłem wesoło i hojnie; straciłem wszystko, i z całej świetności mojej pozostał tylko ten zbiór, który jednak nie jest bez wartości!

„Są to korki, zebrane z butelek, które wypróbowałem, a raczej dałem wypróbować innym w dniach mojej rozrzutności. Z każdego pamiętnego bankietu przechowałem jeden korek. Do każdego z nich przyczepiona jest kartka, a na niej wypisane są nazwiska tych, którzy pili moje wino, z wymienieniem roli, jaką odgrywali w moim życiu. Prawie przy każdym korku znajdują się zapiski w rodzaju następujących:

„Korek szampana. Bankiet z dnia 12. maja 1843, którego to dnia chciał pan B. wciągnąć mnie do udziału w pewnym przedsiębiorstwie, zapewniając, iż zyskam przy tem dwa miliony. Sprawa ta kosztuje mnie 50.000 talarów. Pan B. wyniósł się szczęśliwie do Ameryki. Dla miłośników spekulacji będzie to ciekawa historyjka...

„Korek z wina cypryjskiego. Dnia 4. grudnia 1850. Było nas do tuzina serdecznych przyjaciół. Wszyscy pożyczali u mnie znaczne sumy. Gdym się zrujnował, żaden z nich nie raczył mnie nawet pozdrowić na ulicy. Imiona tych przyjaciół, którzy są mi dłużni do stu tysięcy, znajdują się na kartce...

„Podobne zapiski są przy innych krokach. Jestem przekonany, że zbiór mój ma wielką wartość moralną. Dlatego zapisuję go miastu, które może umieścić go w muzeum. Nauka życia jest największą i najważniejszą ze wszystkich, i sądzę, że pomysł mój przyniesie nie mały pożytek. Rad jestem przeto, że choć tym sposobem przysłużyć się bliżnim.”

Taką jest ostatnia wola tego dziwnego starca; ale czy zbiór jego — rzeczywiście bardzo nauczający — będzie przyjęty do muzeum, niewiadomo dotąd.

(Wynalazki). W Ameryce zrobiono w najnowszych czasach znowu pożyteczny dla ludzkości, a osobliwie dla kobiet wynalazek; jestto maszyna do robienia pończoch, za pomocą której można z łatwością wyrabiać dziennie pięćdziesiąt par pończoch. Maszyna jest tak urządzona, że w okamgnieniu

mogą być oczka powiązane i napowrót wygładzone. Prócz tego znajduje się w niej 75 drutów, które przy pończosze zwyczajnej wielkości wyrabiają na minutę 60 rąbków, czyli 4.000 oczek. Zatem wynosi to na godzinę 270.000 oczek. Cała maszyna nie waży nawet 20 funtów, a co najważniejsza, wyrabia sama całą pończochę aż do ostatniego węzła u stopy.

Do rzędu wynalazków zaliczyć można jeszcze inny przyrząd, ułatwiający ręczną pracę kobiécie. Jest nim wymyślony również w Ameryce ptaszek do szycia, wyrabiany z metalu i przytwierdzany do stołu za pomocą śruby. Przyrządzenie jego jest takie, że za lekkim pociśnięciem ogona otwiera się dziób ptaszka i chwyta rąbek materii lub płótna, które ma być szyte; zaś na grzbiecie tego ptaszka znajduje się poduszeczka na igły. W Ameryce wyrabiają teraz miliony takich ptaszków, i fabrykant ich zarabia ogromne sumy, gdy tymczasem właściwy wynalazca, jakiś ubogi chłopak w jednym z zakładów kąpielowych w Nowym Yorku, może nie ma nawet czem zaspokoić głodnego żołądka.

(Lenguanie), szczep indyjski w południowej Ameryce, mają osobliwsze zwyczaje. Gdy umiera który z członków rodziny, zmieniają wszyscy imię, a to dla obaląmucenia śmierci, która podług ich mniemania posiada spis wszystkich żyjących, i znalazłszy za powrotem inne nazwisko, nie wie, kogo ma zabrać. Są oni zresztą bardzo waleczni w boju i mówią niezmiernie mało, uważając wielomowność, osobliwie u mężczyzn, za coś hańbiącego. (Cnota zaprawdę nader chwalebna!) Przyczyną tego ponurego, milczącego usposobienia zdaje się być nadzwyczajna flegmatyczność, będąca charakterystyczną cechą tych szczepów indyjskich. Nigdzie jednak nie objawia się ta flegmatyczność w okropniejszy sposób, jak w zwyczaju zagrzebywania żywcem wszystkich dzieci płci żeńskiej — z wyjątkiem pierworodnej córki — zaraz po narodzeniu. Straszny ten akt spełniają same matki, i to z taką spokojnością, jak Europejka, gdy usypia swoje niemowlę; czynią to zaś dlatego tylko, ażeby kobiety były więcej poszukiwane. Główną uroczystością Lenguanów jest święto zwane Puruppu, które w pewnej porze roku zaczyna się o północy i trwa przez trzy noce. Pierwszej i drugiej nocy zaczyna się uroczystość pochodem. Mężczyzna z wielką maską małpią idzie przodem, przedstawiając szatana Yurupari; koniec jego płaszcza z kory niosą dwie małe Indjanki. Za nim postępuje mnóstwo innych masek, wyobrażających po części prawdziwe, po części fantastyczne zwierzęta, jako to: ryby, jelenie, ptaki i t.p., przyczem jednak ciało okazuje się najczęściej w naturalnej swej postaci, a maska trzymaną bywa tylko nad głową. Wreszcie zamyka pochod kilka starych, szkaradnych, brudnych, jakimś czernidłem osmarowanych czarownic, które robią rozmaite grymasy i na zółwich skorupach wybijają takt monotonnego śpiewu. Wszystkie wrzeszczą i skaczą prztem jak szalone. Inna kobiéta, w stroju Ewy, niesie dwuletnie dziecko na ręku, któremu dla uczczenia tej uroczystości i złego ducha Yurupari, wyrrywają przy dźwiękach straszliwej muzyki podług starego zwyczaju wszystkie włosy z głowy. Częstokroć wśród okropnych mąk umiera dziecko przy tej operacji. W ciągu tego piekielnego tańca raczą się wszyscy obficie upajającą Chichą. Na zakończenie uroczystości trzeciej nocy odbywa się trawienie jeńców wśród rozmaitych, wyszukanych męczarni. Po

dwukrotnym, uroczystym pochodzie tłoczą się na odgłos bawolego rogu kobiety i dzieci po za kołem, które tworzą wojownicy, uzbrojeni w strzały, topory i inne narzędzia wojenne. Każdy z nich ma oprócz tego w prawej ręce długi, mocno zaostrzony kij. Naraz jakby na znak czarodziejski rozskakują się wszyscy i wpadają potem wzajemnie na siebie z najokropniejszą wściekłością, dzgając się temi ostreimi kijami po rękach i nogach, nieskrzywiwszy się nawet i bez najmniejszego jęku. Po kilku minutach tej miłej zabawy czerwieni się murawa krwią do koła. Tancerzów jednak nie razi to bynajmniej; ich łańcuch ścieśnia się coraz bardziej około męczeńskiego pala, do którego przywiązani są jeńcy, i nieraż obryzguje ich krew szalonych tancerzy. Wreszcie odzywa się róg bawoli na nowo, okropny krwawy taniec kończy się od razu, poczem mordują jeńców w straszliwy sposób, ciało zamęczonego dziecka rozdzierają w sztuki strzałami, i palą w końcu na popiół tańcząc do koła i popijając Chichę.

(Pijaństwo Moskali). „Pij wodku — budiesz zdrow“.
Sentacya ta stała się warunkiem bytu, kardynalną zasadą cywilizacyi w Moskwie. To też piją tam wódkę wszyscy „con amore“, bez różnicy płci, wieku i stanu, a ztąd pijaństwo w całym moskiewskim państwie wzrasta codziennie i dochodzi do bajecznych rozmiarów, nie zważając na głód i nędzę, które prawie wszędzie grasują. Według statystycznych dat, zbieranych w ministerjum finansów, na każdą głowę, rachując mężczyzn, kobiety i dzieci, wypada rocznie około dwóch wiader wódki, za które się płaci 16 rubli i pół. W Petersburgu liczą więcej niż trzy tysiące restauracyi, szynków i wódczanych składów, tak, że wzięwszy ogólną liczbę mieszkańców stolicy, na każdy szynk wypada 111 ludzi. Jeżeli odrzucimy cara i jego otoczenie, którzy piją tylko szampan, jeżeli wyłączymy wyższą klasę, która nie pijąc skarbowej wódki, zadowalnia się zagranicznym winem, jeżeli odrzucimy niemowlęta i ludzi niepijących (choć tych bardzo mało), otrzymamy okropny obraz. W samym Petersburgu wypito w 1867 roku około miliona wiader wódki. Dla porównania przytoczymy liczbę, wziętą z zeszłorocznych sprawozdań francuskich. W całej Francyi wypito sześć milionów wiader wina, co na 40milionową ludność nie może być uważanem za rzecz nadzwyczajną, tem mniej, że wino we Francyi jest zwykłym napojem prostego ludu, niezbędnie potrzebnym dla zdrowia. Za to też i skutki zachęcania w Moskwie ludności do pijaństwa przez rząd, który z tego otrzymuje największy dochód, są zastraszające. Z liczby skaleczonych, których odwieziono do głównego szpitalu stolicy, przypada 50 pct. na pijanych, 20 pct. liczy dom waryatów, a w ciągu jednego roku około 3000 ludzi struło się spirytusem, tak że na 160 mieszkańców wypada jeden struty wódką. W liczbie tych ostatnich znajduje się najwięcej urzędników-cywilizatorów, bo według tychże statystycznych dat liczba ich wynosi około 1000 osób.

(Osobliwsza czułość braterska.) Zeszłej jesieni na wyścigach konnych w Paryżu, koń przesadziwszy baryerę wpadł na jakiegoś młodego człowieka i pokaleczył go tak mocno, że biedny młodzian leżał bez przytomności. Kilka osób

pospieszyło mu na ratunek, ale nagle roztrąca wszystkich jakiś porządnie ubrany młody człowiek, rzuca się na omdłego krzycząc: „Mój bracie, mój drogi bracie!“ — i chwytą go tak silnie w objęcie, że rozrzewnieni tym widokiem świadkowie zaledwie zdołali go uspokoić i podnieść, ażeby nieść pomoc ranionemu. Po chwili przywrócono tegoż do przytomności; ale o dziwo, czuły braciszek znikł tymczasem jak kamfora, i pokazało się, że to przebiegły oszust, który za odegraną tak artystycznie rolę brata zapłacił sobie sam złotym zegarkiem i sakiewką ranionego. Wszystko postępuje na tym świecie.

(Godna naśladowania procedura sądowa.) W Kalifornii odbywa się wszystko z nadzwyczajną szybkością. Niedawno zrabowany został w drodze do S'an Juan Nevada wóz pocztowy, który wiozł 3000 dolarów. Rabunek ten popełniony został o godzinie 5. zrana; we dwie godziny potem ogłoszono nagrodę za schwytanie złoczyńców; o godzinie 12tej wysłędzono ich; o godzinie 2giej po południu odzyskano pieniądze w zupełności; o godzinie 5tej rozstrzelano zbrodniarzy, a o 6tej wieczorem byli już pogrzebani. Niejednemu sądowi europejskiemu przydałaby się chociaż setna część takiej szybkości.

(Taksy za czynne obrazy i skaleczenia w dawnych czasach). Za panowania Ludwika X. króla Francyi, istniały w r. 1314 za podobne „dotykalności“ następujące kary pieniężne: Za uderzenie pięścią 1 sous, za rzucenie kamieniem 5 sous. Kto pochwycił kogo jedną ręką za gardło, płacił 5, a jeżeli obydwoma rękami, 14 sous. Kto się powazył napluć drugiemu w twarz, musiał zapłacić za to 6 sous. Uderzenie w nos „bez krwi“ kosztowało 5 sous, pokazanie się krwi podwajało karę. Za kopnięcie nogą płacono również 10 sous. Uderzenie szpadą „bez krwi“ — tak zwane płazowanie — kosztowało 10, z krwią zaś 13 sous; co do ilości jednak tego czerwonego soku życia nie podaje kodeks policyjny żadnych bliższych szczegółów. Wyrażniejszem jest postanowienie następujące: „Krwawa rana powyżej zębów 36, poniżej 52 sous.“ Dość tanio jest otaksowane „złamanie ręki lub nogi“ na 7 fr. 4 sous. Wreszcie za każdy „wybity ząb“ musiano płacić również 7 fr. 4 sous, a więc prawie tyle, ile dziś u tańszego dentysty kosztuje wprawienie nowego zęba. Ale te błogie czasy minęły już; dziś zdrowie ludzkie nabrało większej ceny, i podobne artykuły „kułakowe“ kosztują nierównie więcej.

ZAPISKI Z BIBLIOGRAFII POLSKIEJ z r. 1867.

- O obecnem posłannictwie Polski. Paryż 1867. brosz.
Lustig. Geschichte der Stadt Myslovitz. Myslovitz 1867.
Królestwo polskie po ostatniem rozbięciu. Drezno 1867. brosz.
Statut stowarz. straży ogn. ochot. w m. Krakowie. Kraków 1867.
Oettinger. Cholera nagminna w Krakowie 1866. Kraków 1867.
Dietl. Program odbudowania sukienic. Kraków 1867. brosz.
Langer H. Komentarz do ustawy gminnej. Wadowice 1867.
Pieśń o Polsce (J. Z.) Lwów 1867.
Gumplowicz L. D. Prawodawstwo pol. względem żydów. Krak. 1867.
Bastiat. Harmonie społeczne (tł. Ewelina Ahrens) Drezno 1867.
Piasecki. Słownictwo gimnastyczne. Lwów 1867.